J. JORKOWSKI MEDICAL

JÓZEF JANKOWSKI

MIŁOŚĆ ARTYSTY

SZOPEN i PANI SAND



LISZT par Devéria
1832

GEBETHNER i WOLFF
WARSZAWA

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA
1324

MIŁOŚĆ ARTYSTY

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA
187

JÓZEF JANKOWSKI

MIŁOŚĆ ARTYSTY

SZOPEN I PANI SAND

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

137

SKŁADY GŁÓWNE:
„THE POLISH BOOK IMPORTING CO., INC." — NEW YORK
„KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC." — KATOWICE

1927

Druk. J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Ś-to Jerskiej).

PANI OLI VON OFFENBERG

POŚWIĘCA

AUTOR

W zbliżeniu się znakomitych ludzi do pięknych czy niepospolitych kobiet, które wywierają w następstwie znamienny wpływ na losy tych mężczyzn, widzi się zazwyczaj zwykły przypadek. Mówi się tak: „Gdyby ten czy ów nie poznał tej czy owej kobiety, nie byłoby się stało z nim to, co się stało". W założeniu takiem tkwi, co najmniej, zupełna niedostateczność logiczna, gdyż zaraz nasuwa się pytanie: Czem się stało, że ten czy ów poznał tę czy ową, a nie inną kobietę? Jeżeli jest to przypadek, to dlaczego przypadł on na tę właśnie kobietę? Zresztą, przypadek, gdyby gdzieś istniał istotnie i nie był tylko tem, czego jeszcze rozwiązać przyczynowo nie umiemy, nie mógłby nastręczać zagadnienia żadnej dalszej konsekwencji dla nas logicznej: przypadek mógłby rodzić tylko przypadek, nie zaś jakąś logikę życiową, co do której zakładamy sądy.

W zarysie niniejszym starałem się pochwycić niejako nić celowości koniecznej, jaka warunkowała zbliżenie się Szopena do pani Sand i jaka związała dwa te biegunowo odmienne istnienia — dla bolesnej wymiany wielkiej sprawy życia — dla pełnego przyprawienia Szopenowi anielskich skrzydeł sztuki.

Wobec takiego postawienia celowej zasady życia, wobec rezultatów widomych triumfu ducha, musi na dalszy plan odejść nasz żal, nasze pretensje czy sądy surowe względem tej, która była może przedwczesnem wiekiem sławnej trumny Szopena: nad osobniczemi wymiarami naszych sądów, nad wszelką oceną dusz, wstecz rozpatrywanych, górować będzie zawsze wyraz konieczności najwyższej: Tak musiało być!

J. J.



PANI SAND DO CZASU POZNANIA SZOPENA.

SPRAWA Z MUSSETEM. — FURJA MIŁOSNA.

Zanim przystąpimy do właściwego zadania — odmalowania w zarysie stosunku, jaki łączył panią Sand z nieśmiertelnym polskim Arjelem muzyki, i wykrycia, o ile można, sprężyn głównych tego stosunku — przebieżmy jednym rzutem oka dzieje tej niezwykłej kobiety, władze i usposobienia jej duchowe, do czasu poznania się z Szopenem.

Kim była w istocie ta bujna i niepodległa natura, ta głowa zapalona, ta ryzykantka szalona miłości, ta gwałtownica nieugięta wolności i praw kobiety, genjalna pisarka, umysł rozległy i bystry, *enfant terrible* pierwszej połowy przeszłego stulecia, djabeł w spódnicy, jak ją niewątpliwie starsze panie owych czasów zwały — djabeł w spódnicy, mający nadomiar złego

zawsze w walizce swej podróżnej ubiór męski, w którym czyniła swe karkołomne wyprawy turystyczne (co było w owych czasach zdrożnością dla kobiet), a nawet i miłosne — „optymistka w *ubraniu purpurowem*, która ciągle śmieje się, łaje i pracuje", jak to sama o sobie mówi *), — kobieta, którą uwielbiano i na którą wszystkie gromy ciskano, którą czytano z oczyma pełnemi łez, z zapartym oddechem, i którą odsądzano od czci?

Nie dajmy się uwodzić zręcznym, jaskrawym etykietom, przypinanym do jej osoby, jak np. ta, wzięta z jej powieści, p. t. *Lélia*, określająca bohaterkę a stosowana zwykle do niej: „Brunetka z oliwkową cerą, Lelia, mroczna, jak Lara, rozdarta, jak Manfred, buntownicza, jak Kain, tylko bardziej dzika, bardziej nielitościwa", (*Brune et olivâtre Lélia — sombre, comme Lara, déchirê comme Manfred, rebelle comme Caïn — mais plus farouche — plus impitoyable*); lub jak ta Mussetowska do niej zwrotka z „Nocy październikowych", — do „kobiety o mrocznem spojrzeniu" (*la femme à l'oeil sombre*):

To twoja młodość, czary, sny,
Rozpaczą duszę moję mącą,
I jeśli wątpię dzisiaj w łzy,
To — iż widziałem cię płaczącą —
(C'est ta jeunesse et tes charmes,
Qui m'ont fait déséspérer,
Et si je doute des larmes,
C'est que je t'ai vu pleurer —);

*) Journal intime.

lub jak to Lindau'owskie o niej powiedzenie: „Małgorzatą nie umiała być, Magdaleną nie chciała być, została *lady Tartuffe*'ową", (*Ein Gretchen hat sie nicht sein können, eine Magdalena hat sie nicht sein wollen, eine Lady Tartuffe ist sie geworden*); lub wreszcie określenie kochanka jej, Juljusza Sandeau, gdy pokazywał w albumie jej fotografję dzieciom: „Dzieci! zapamiętajcie sobie dobrze! — to jest grób! grób — powiadam".

Nie dajmy się uwodzić tym efektownym lub dowcipnym wyskokom literackiego natchnienia, pochodzącym od osób bezpośrednio dotkniętych w swej namiętności, lub goniących wprost za frazesem udatnym, często kosztem czci ludzkiej, a przeto niezdolnych do sądu bezstronnego.

Możnaby przytoczyć z tych czasów zdanie dosyć surowe, ale spokojne i rozważne, przyjaciela jej, znakomitego krytyka, Juljusza Janin, z listu do niej:

„... Ale nie! W pani jest ciągły niepokój wolności, który nie pozwala ci długo słuchać rad roztropnych i bezinteresownych. Szczęście pani — to puszczanie się zawsze na ryzyko, bez celu i bez planu, z pierwszym buntem, jaki się nadarza na pani drodze, poto, by on, stanąwszy dęba, rzucił się z panią do tego samego rowu. Chce pani być swym mistrzem absolutnym, biedny wielki duchu! — i nie wiesz pani, że, by uniknąć jarzma zacnego, stajesz się często posłuszną wolom, niegodnym zbliżenia się do twojej" (*Journal intime*, list Janin'a).

Jest to racjonalniejsze chyba określenie istoty charakteru, niż tamto, płynące z ducha złośliwych szyldzików. Przynajmniej bardziej ludzkie.

Mamy, na szczęście, wydany niedawno, jej „Dziennik poufny“ *(Journal intime)*, mimo swej literackiej natury nie podlegający zarzutom nieszczerości, pisany nie ze wspomnień i nie dla ludzi, jak była pisana „Historja mego życia“ (*Histoire de ma vie,* 4 tomy), lecz bezpośrednio, z potrzeby samorzutnej ducha, dla siebie, i tylko wypadkiem z odpisu jej przyjaciółki dzisiaj wydobyty. Pozwoli on nam wejrzeć głębiej w duszę tej niespokojnej i śmiałej zdobywczyni dróg życia i jego świateł, poprzez splątane dżungle bujnej natury kobiecej.

Tam to w jednem miejscu znajdziemy wynurzenie, tak zgadzające się z oceną Janin'a (r. 1837, czyli na rok przed poznaniem Szopena):

„Niestety, mój Boże! Niosłam jarzmo żelazne i, o ile nakładano je na mnie w imię czułości i serdecznemi środkami perswazji, zginałam się ślepo pod ręką przyjazną. Ale kiedy znużono się przekonywać mnie i gdy chciano rozkazywać mi, kiedy żądano mego posłuszeństwa nie w imię już miłości i przyjaźni, lecz na mocy prawa i władzy, odnajdywałam zawsze w sobie siłę, o której nikt nie wie, prócz mnie! Prócz mnie, która jedna wiem, jak kocham, jak żałuję, jak cierpię!“

Zdaje się, że tu tkwi rdzeń charakteru pani Sand: niepoddanie się żadnemu autorytetowi. Nadczłowieczeństwo, czy pycha bezmierna? Ani jedno, ani drugie, tylko zwykła religja przyrody, duch Russa, duch rasy, w spóźnionem, choć pełnem wydaniu bujnej i niepospolitej natury kobiecej. Spotka się on

z duchem innej rasy, z religją nadprzyrody, i stąd powstanie konflikt tragiczny.

Ale nie uprzedzajmy wypadków. Ustalmy naprzód trochę dat i faktów.

Pani Sand — George Sand — to pseudonim hrabiny Aurory Dudevant, z domu panny Dupin. Dupin'owie mieli w swym górnym rodowodzie Maurycego Saskiego, marszałka, który: „umierając, wygrywał bitwy“; Maurycy Saski zaś był synem naturalnym króla Augusta Mocnego i hrabiny Aurory von Königsmarck. Jej to imię, jako swej prababki, przyjęła przyszła pani Sand, tak samo jak nadała synowi swemu imię wojowniczego przodka, marszałka. Pani Sand wychowywała się w dzieciństwie u babki, której znowu matka, panna de Verrière, była znaną z przygód romansowych baletnicą opery. Matka pani Sand była prowincjonalną aktorką, której cnota, według świadectwa samej córki, była nieraz narażana na szwank. Tak więc w żyłach pani Sand płynęła krew błękitna a nawet królewska, krew mocnych, namiętnych i nieujarzmionych zdobywców, zmieszana z krwią lekką lekkiego artystycznego świata. Mieszanina ta wycisnęła niewątpliwie piętno na duszy genjalnej pisarki.

Przyszła na świat w 1804. W trzynastym roku życia została oddana na wychowanie do arystokratycznego klasztoru, który ukończyła w 1820. W dwa lata potem, jako ośmnastoletnia panna, wydana została zamąż za hrabiego Dudevant. Ma z nim dwoje dzieci: syna, Maurycego, i córkę, Solange. Po kilku latach pożycia małżeńskiego porzuca męża. Zjeżdża do Paryża

w 1831. Ma już napisaną kilkotomową powieść (*Rose et blanche*). Zawiązuje stosunek miłosny z poczytnym powieściopisarzem, Juljuszem Sandeau, który powieść przerabia i wydaje (w 1832) pod skróconem swem nazwiskiem: Jules Sand.

Powieść zyskuje spore powodzenie. Pani Sand pisuje w Figarze i ma już drugą powieść (*Indiana*) do wydania. Spotyka kiedyś na ulicy teściową:

— Pani podobno pisze książki? — zapytuje spotkana.

— Tak jest, pani hrabino!

— Sądzę, że pani nie skompromituje naszego nazwiska, drukując je na okładce książki.

— Nie, pani hrabino! Nie skompromituję*).

Trzeba wybrać pseudonim. Juljusz Sandeau nie może już dać swej przejrzystej osłony, gdyż nie bierze żadnego udziału w autorstwie. Rada w radę — zostaje Sand, jako coś niezależnego, zaś imię *George* dodaje, według swego gustu, autorka. George Sand zrasta się już na zawsze z hrabiną Dudevant i nawet ją całkiem demokratycznie pokrywa.

Powieści sypią się już, jak z rogu obfitości, i coraz większy rozgłos jednają pisarce. *Indiana* (1832), *Valentine* (1832), *Jaques* (1834), *André* (1835), *Simon*, *Lettres d'un voyageur*, *Lélia* i t. d., podbijają ogół śmiałością myśli, hasłami demokratycznemi postępu i wolności, malowidłem żywem namiętności, gorącą

*) Histoire de ma vie, tom IV.

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA BIBLIOTEKA

obroną praw kobiety i jej niezależności duchowej, radykalizmem republikańskich przekonań łącznie z humanitaryzmem uczuć. Szeroki gest życia, inteligencja polotna, wrażliwość szlachetna, świetne pióro, umysł szeroki, raczej męski, niż kobiecy, obok czułości kobiecej, artyzm wysoki, pełen ładu i miary — wszystko to wysuwa ją rychle na pierwszorzędne stanowisko w ówczesnym świecie artystycznym i literackim Paryża, czyniąc z niej zjawisko zgoła nadzwyczajne.

Ze sławą rosną stosunki i nawet wygoda materjalna (pani Sand, pomimo że była haniebnie wyzyskiwana przez wydawców, zarobiła piórem w ciągu swej karjery literackiej zgórą miljon franków, co, na owe czasy, było sumą dużą. Wszystko, notabene, wydawała, nie lubiąc oszczędności. Miała zresztą swą posiadłość wiejską w Nohant). Wszyscy najwybitniejsi ludzie tych czasów pozostają z nią w stosunkach, często prawdziwie przyjaznych — Piotr Leroux, Lamennais, Jules Janin, Sainte-Beuve darzą ją swą przyjaźnią i radami szczeremi. Liszt, Delacroix, Heine, Berlioz, Meyerbeer — należą do jej grona.

Dochodzimy do roku 1834, trzydziestego jej życia. Z panem Sandeau stosunek już zerwany. Widuje się teraz i obcuje z ludźmi o wyższym poziomie duchowym i artystycznym, niż poziom pierwszego jej przewodnika w życiu i sztuce. Zresztą, wrażliwość niespokojna pani Sand jest prawdziwą rozpaczą dla mężczyzny, żądającego wyłącznych praw, dyktowanych przez ambicję czy próżność, i musi zawsze prowadzić do katastrofy.

Poznaje młodszego od siebie o 6 lat, kapryśnego i romantycznego, jak jego *Fantazio*, wykwintnego Alfreda Musseta, poetę w każdem włóknie ciała. Zawiązuje się bliższy stosunek. Z tego stosunku wybucha prawdziwa awantura miłosna. Szał zmysłów, zazdrość ze strony poety — o przeszłość, o teraźniejszość, o przyszłość, o życie za grobem, o sny, o spojrzenia — łżenia, poniewierka kochanej, łzy, rozpacze, potem znów zachwyty, pieszczoty i raje, szaleństwa, niebo i piekło — Romeo i Otello w jednej zapalnej osobie. Pani Sand, zda się, również ulega pierwszej i jedynej może namiętności — nie literackiej. Zresztą — na krótko. Jadą do Wenecji, grodu miłości. Tu, nie wiem już po której z rzędu gwałtownej scenie i odtrąceniu kochanki, Musset zapada ciężko na tyfus. Pani Sand również jest niezdrowa i wyczerpana. Jak twierdzi później w Historji swego życia, to klimat wtedy wenecki był taki chorobotwórczy. Mimo to (jak pisze w tejże Historji — i tylko tyle pisze), przez 17 dni, bez jadła i bez snu, pielęgnuje nieprzytomnego poetę. Chorego odwiedza lekarz, Włoch, o którym tylko wiemy, że miał na imię Enrico. I oto (tego, oczywiście, niema w Historji) — zrozpaczona kochanka oddaje się Enricowi.

Ale zajrzyjmy teraz do *Journal intime* pani Sand, który nam właśnie tę sprawę i psychologję nieszczęsnej tej kobiety sowicie obrazuje. Cała pierwsza część tego Dziennika — to kaskada, war i wylew namiętny żalów, rozpaczy, łez i skarg nowoczesnej Safony, po ostatecznem odtrąceniu jej przez Musseta, który

się o zdradzie dowiedział i wyjechał natychmiast z Wenecji.

Pani Sand rozpaczająca przybyła też do Paryża. Posłuchajmy jednej dłuższej karty z tego poufnego dziennika:

„Nie mogę znosić tego wszystkiego! I wszystko to o nic! Mam trzydzieści lat, jestem piękna jeszcze, przynajmniej byłabym nią za kilka dni, gdybym przestała płakać. Mam dookoła ludzi, którzy są więcej warci ode mnie, a którzy jednak, by brać mnie, jaką jestem, bez kłamstwa, bez zalotności żadnej, czyniącą wyznanie najsurowsze z mych błędów, daliby mi śmiało oparcie. Ach, gdybym mogła zakochać się w kim na nowo! Boże mój! daj mi moją tężyznę dziką Wenecji, wróć mi tę gwałtowną miłość życia, która mnie pochwyciła, jak napad wściekłości, pośród najstraszniejszych rozpaczy! Spraw, bym kochała jeszcze! Ach! dla zabawy zabijają mnie, mają w tem przyjemność, piją łzy moje, śmiejąc się! Otóż ja, ja nie chcę umierać! Chcę kochać, chcę odmłodnieć, chcę żyć! Ale to przepadło! Boże! ty wiesz, jakeś mnie porzucił potem! Było więc to zbrodnią? Miłość życia jest zbrodnią tedy? Mężczyzna, który powiada kobiecie: „Jest pani porzucona, wzgardzona, wypędzona, zdeptana; zasłużyła pani, być może, na to. Otóż, ja, ja nic nie wiem o tem; nie znam pani, ale widzę pani boleść i żałuję pani, i kocham panią. Oddaję się pani jednej na całe me życie. Pociesz się, pani, żyj! Chcę ocalić panią. Pomogę pani spełniać obowiązki przy rekonwalescencie; pójdzie z nim pani aż do końca, ale

nie będzie go pani kochała i wróci pani. Wierzę pani“ — mężczyzna, któryby tak powiadał, czy mógłby mi się zdawać winnym w takiej chwili? I jeżeli, powziąwszy nadzieję przekonania tej kobiety, porwany sam niecierpliwością zmysłów czy też pragnieniem zabezpieczenia swej wiary, zanim nie będzie za późno, oblega ją pieszczotami, łzami, stara się usidlić jej zmysły splotem śmiałości i pokory? Ach, inni mężczyźni nie wiedzą, co to jest być kochaną i prześladowaną, i błaganą godzinami całemi! Są tacy, którzy nie robili nigdy tego, którzy nigdy nie męczyli uporczywie kobiety. Delikatniejsi i dumniejsi, chcieli oni, żeby ona sama się oddała. Przekonywali ją, czekali i otrzymywali. Jam zawsze tylko takich mężczyzn spotykała. Ten Włoch — Ty wiesz, mój Boże, czy pierwsze słowo jego nie wyrwało mi krzyku przerażenia! I dlaczego mu się oddałam, dlaczego, dlaczego? Czy ja wiem? Wiem, żeś mię złamał następnie, i jeżeli to jest zbrodnia mimowolna, to Tyś nie mniej mię ukarał, niż sędziowie ludzcy karzą zabójstwo rozmyślne; bardziej jeszcze, gdyż morderca raz jest tylko zabity, a ja oto umieram już dziesięć tygodni z dnia na dzień i obecnie z minuty na minutę. Jest to agonja zbyt długa. Prawdziwie, dziecko okrutne, pocoś ty mię kochał po tem, jak mnie znienawidziłeś? Jakież misterjum dopełnia się w tobie co tydzień?

„Dlaczego to *crescendo* niesmaku, odrazy, wstrętu, wściekłości, chłodu i wzgardliwego szyderstwa, a potem naraz te łzy, ta słodycz, ta miłość niewysłowna powracająca? Męczarnio mego życia! Miłości

opłakana! Oddałabym wszystko, com przeżyła, za jeden dzień twego wylewu! Ale nigdy, nigdy! To straszne! Nie mogę wierzyć temu. Chcę iść tam. Idę tam — nie — krzyczeć, wyć, ale nie należy tam iść!

„Sainte-Beuve nie chce.

„Wreszcie, to powrót twojej miłości, w Wenecji, wywołał mą rozpacz i zbrodnię. Mogłam li mówić? Nie chciałbyś już mej opieki, umarłbyś z wściekłości, znosząc ją. A cóżbyś zrobił beze mnie, biedny gołąbku mrący? Ach, Boże! Nie myślałam nigdy przez chwilę o tem, cobyś cierpiał z powodu tej choroby i z powodu mnie, żeby pierś moja nie pękała w łzach. Oszukiwałam cię, a byłam tam między dwoma mężczyznami, z których jeden mówił: „Wróć do mnie, odkupię twe błędy. Będę cię kochał, umrę bez ciebie!“ I drugi, który mówił cichutko do drugiego ucha: „Bacz! należysz do mnie, niema już powrotu, Bóg tak chce, Bóg cię rozgrzeszy!“ Ach, biedna kobieta, biedna kobieta! Wtedy to należało umrzeć!“

Co robić, zapytuję, z taką szaloną kobietą? Obrzucić ją kamieniami? Wyświecić z miasta? Zamknąć ją w domu obłąkanych? — Nie na wieleby się to przydało: owszem, wpędziłoby ją jeszcze w gorsze szaleństwo. Kobieta taka musi sama doświadczyć swą duszą, co bądźby stać się miało. Taka już jej natura rogata. Albo stoczy się najniżej, albo — jeśli jest w niej iskra ochronna godności ludzkiej, dojdzie — dochodzić będzie do ładu z tą duszą i do poznania prawdy. Chodzi o to, czy żywioł w niej ukryty stosuje się do

duszy, czy tylko do ciała. Możnaby jej zarzucić, że sieje zgorszenie. Ale była to jej sprawa prywatna, publicznie tylko pole do domysłów zostawiająca. Jej winą było może, że lekceważyła opinję, że — co inne panie robiły skrycie i lekkomyślnie, to ona podejmowała, jako zagadnienie szczerej sprawy życia. Możnaż ją za to potępiać? Zresztą, proszę czytać jej dzieła: wszystkie tchną wysokim ideałem prawości wolnej duszy, przynajmniej jak ona ideał ten rozumiała, i w porównaniu z dzisiejszemi powieściami są, jak zdrój krynicny obok bajoru mętnego.

Co robić, zapytuję, z kobietą, która, z całą nieświadomością cynizmu, czy też z całym cynizmem nieświadomości, bolejąc po odtrąceniu jej przez kochanka-poetę, zdradza go tuż przy jego łożu z szalonej miłości dla niego? Co za psychologja dziwaczna! Co za szukanie dnia wczorajszego!

Posłuchajmy jeszcze fragmentu z tego wyznania: „Ach! ale nie można kochać dwóch mężczyzn naraz. To ze mną się zdarzyło. Ale to, co się ze mną zdarzyło, nie zdarzy się już nigdy. Ach! nierozumnyś — kiedy powiadasz, że ona to zrobi jutro, ponieważ zrobiła wczoraj! Wręcz przeciwnie trzebaby powiedzieć. Czyż jestem głupia lub niewrażliwa? Czyż nie cierpię za szaleństwa i za błędy, które popełniam? Czyż lekcje nie zdadzą się nanic kobietom takim, jak ja? Czyż nie mam trzydziestu lat? czyż nie jestem w całym rozkwicie sił? Tak, Boże Niebieski, czuję to dobrze. Mogę jeszcze być radością i dumą mężczyzny, jeżeli ten mężczyzna zechce mię szczerze wesprzeć! Potrzebuję ramienia mocnego, by mię podtrzymało, serca bez próżności, by mię przygarnęło i zachowało. Gdybym była znalazła takiego mężczyznę, nie zaszłabym — gdzie jestem. Ale mężczyźni to dęby sękate, których kora odraża. A ty, poeto, kwiecie piękny, — ja chciałam pić rosę twoją. Upoiła mnie, zatruła mnie, i w dniu gniewu poszukałam innej trucizny, która mnie dokonała. Byłeś nazbyt słodki i subtelny, zapachu mój luby, byś nie ulatniał się za każdym razem, gdy usta me ciebie wdychały. Piękne krzewy Indyj i Chin zwijają się na słabej łodydze i gną się przy wietrze najmniejszym. To nie z nich cieszą belki do budowy domów. Są one poto, by upoić się ich nektarem, odurzyć się ich zapachem, zasnąć i umrzeć".

Zdaje się, że właściwością natury pani Sand było robić głupstwa, głupstwa zmysłów, poto, by zaraz żałować tego i cierpieć. Tu się uwydatnia natura wybitnie artystyczna, gdzie popędem jej właściwym jest wyobraźnia, niezmiernie bogata i żywa. Wyobraźnia, zresztą, jest motorem naczelnym popędów każdego człowieka. Tylko — że u pospolitaka kieruje się ona samolubnie wzniż — na własne ciało i jego zadowolenie, u artysty — choć też samolubnie, ale na siebie samą, na sycenie siebie samej, i wzwyż — na ideał, na ducha. Artysta ma więc rację, że zrywa z głupstwem zmysłów i chuci miłosnej, t. j. że się szybko co do nich rozczarowywa, i tem więcej ma racji, im szybciej to czyni; nie ma tylko racji, że się w to głupstwo wdawał, i daje się opanowywać zmysłom, gdyż wtedy wyobraźnia jego, przez wrodzony

jej obraz ideału, musi mu pomstę i piekło gotować. Najmniej zaś już ma racji, gdy tak, jak pani Sand, klin zmysłów chce nowym klinem tychże zmysłów wybijać, gdyż wtedy wyobraźnia, w imię tegoż prawa ideału, podwójną mu pomstę i cierpienie gotuje.

Cały ten rozdział dziennika poufnego pani Sand, poświęcony sprawie mussetowskiej, jest, jak rzekłem, jednym kipiącym kotłem pasji miłosnej, szału zmysłów, żalu, skruchy, wybuchów rozpaczy, pokuty, to znów buntu, odchodzenia prawie od zmysłów, łkań, krzyków i opętania dziwnego. „...Jakież to sny przeciągają dokoła mego wezgłowia? Istota, którą się kocha, zawiera tedy demona, który panuje nad nami i torturuje nas przez cały czas, gdy trwa miłość? Jakąż to gorączkę wpędziłyście do szpiku mych kości, duchy zemsty niebieskiej? Jakież zło uczyniłam aniołom niebieskim, że zstąpili ku mnie i włożyli we mnie, za karę, miłość lwicy? Dlaczego krew moja zamieniła się w ogień, i dlaczegom poznała, w chwili umierania, uściski zapalczywsze od uścisków ludzkich? Jaka furja ożywia cię tedy przeciw mnie, ty, który mnie nogą strącasz w trumnę, podczas gdy usta twoje upajają się mojem ciałem? Chcesz tedy, bym się zabiła? Powiadasz, że zabraniasz mi tego, a jednak czem stanę się zdala od ciebie, gdy płomień ten ciągle mię zżera? Jeżeli jednej już nocy nie mogę spędzić, nie krzycząc do ciebie i nie wijąc się w łóżku, co będzie, gdy stracę cię na zawsze? Mam zblednąć, jak zakonnica, zjadana przez pragnienie? Czy mam oszaleć i budzić mieszkańców domów mem wyciem? O, chcesz, bym się zabiła?“

Jest to okres prawdziwie krytyczny, okres klimakteryczny 30-stoletniej kobiety. I trzeba przyznać, że wyraz jego artystyczny, mimo wszystko, jest mocny.

Szalona rozpacz, wybuchająca w dzienniku w chwilach samotności, nie przeszkadza tej żywotnej kobiecie chodzić do teatru, czynić dowcipnych spostrzeżeń, pozować Delacroix'owi do swego portretu, widywać swych przyjaciół, artystów i krytyków, rozmawiać z nimi wkółko o Mussecie i pytać ich: co to jest miłość? Delacroix, który zna jej cierpienie, powiada jej, dając radę, żeby się poddała bez buntu rozpaczy. On w takich wypadkach tak czyni; rozpaczy szybko sprzykrzy się to tarmoszenie człowieka bezbronnego, i opuści go. Liszt tłumaczy jej, że tylko Bóg jeden zasługuje na miłość. Heine — że kocha się tylko głową i zmysłami: serce maluczko tu waży. I na zapytanie, co myśli o Mussecie, nie omieszka rzucić dowcipu: „O, to jest młodzieniec z wielką — przeszłością!“ Jeden tylko Sainte-Beuve powiedział uczciwie i do rzeczy: „Miłość — to łzy. Płacze pani, więc kocha“.

Nareszcie, po tygodniach tej rozpacznej szarpaniny, dochodzi do wniosku, że „namiętność jest darem srogim, lecz boskim. Cierpienia miłości winny uszlachetniać, nie znikczemniać człowieka“. I zapisuje w dzienniku: *„Mea culpa!...* Alfredzie! napiszę książkę. Zobaczysz, że dusza moja nie jest zepsuta, albowiem ta książka będzie strasznem oskarżeniem przeciwko mnie! Święci Niebiescy! wyście zgrzeszyli, wyście cierpieli!“

„Napiszę książkę"! Dotarliśmy tu do właściwej natury pani Sand.

Zrobiłby może kto zarzut, że całe to jej cierpienie jest przeto literackie, oparte na wyobraźni, nie takie więc bolesne, jak to wygląda w dzienniku, więcej urojone, niż rzeczywiste i szczere. Ale tu zaoponowałbym stanowczo. Każde cierpienie oparte jest na wyobraźni; bez tej władzy nie byłoby właściwie cierpienia. Jest ona miarą i zwierciadłem cierpienia. Jeżeli tylko cierpienie ma motyw realny, artysta cierpi znacznie więcej — dziesięćkroć, stokroć — niż zwykły człowiek z powodu tego samego motywu, gdyż artysta ma dziesięćkroć, stokroć więcej wyobraźni, niż człowiek pospolity, do oglądania w ciągłych błyskawicach swego bólu, do rozdzierania niemi ciągle świadomie swej drętwej, bez tego, nocy. Pani Sand, ze swą wyobraźnią płomienną, cierpiała mocno i szczerze, choć wyraz tego cierpienia, przy ciągłym ruchu jej świadomości i wyobraźni, był inny, niż u ludzi zwyczajnych — wyraz nie tępy, gdyż niebem ideału ciągle ostrzony i celem duszy toczony.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej na sprawie Mussetowskiej pani Sand, gdyż rzuca ona światło najjaskrawsze na jej charakter i stanowi przełom zasadniczy w jej życiu. Nie potępiajmy jej za jej błędy, za walkę ze sobą, za łamanie się ciągłe tej duszy wielkiej, jaką niewątpliwie była, tej duszy nieszczęsnej, która przez całe życie pasowała się pomiędzy tem, co zwała „fatalnością swej organizacji", a poczuciem ży-

wem ideału wolnego — która ciągle dążyła, ciągle się doświadczała, by wykuć tę wolność swoją.

Była ona, jak posąg miedziany, z jednej nieugiętej bryły, w ogniu popękany boleśnie, jednak piękny, jednak wymownie szlachectwo swe ogniowe niosący.

Pamiętajmy zawsze, że była ona przez 9 lat towarzyszką najbliższą i przyjaciółką najpoufniejszą Szopena, i że Szopen, ze swym bardzo wysokim instynktem moralnym, nie byłby się nigdy zbliżył do niej, gdyby nie czuł wielkości tej duszy pod warstwą obciążającą, gdyby nie czuł jej dobrej woli i świateł w niej zawartych.

Widzimy więc, że etykiety przygodne, przyczepiane do jej osoby, pomawiające ją o łzy nieszczere, o obłudę tartuffowską, pryskają, jak puch lotny, bez wagi zasadniczej.

Miarą człowieka nie jest jego błąd, lecz zapał dla dobra i dążenie do światła — droga jego twórcza.

Zbliżenie się dwojga tych wielkich, choć sprzecznych duchów było dla obojga konieczne, w przeznaczeniach gdzieś wysokich pisane. Podtrzymało ono, od strony Szopena, tę duszę mu sądzoną kobiecą w punkcie, jakiego jej najbardziej było potrzeba — w punkcie metafizycznym istnienia, — samemu Szopenowi, poprzez mękę i próby ogniowe, kosztem wyrocznym życia, przyprawiając skrzydła anielskie: skrzydła anielskie sławy i miłości pośmiertnej, jakiemi tu na ziemi żaden się artysta nie cieszył.

PIFFOËL.

Przebolawszy historję swą z Mussetem, pani Sand wstępuje w nowy okres życia — opamiętania, krytyki i kontroli nad sobą, na zmianę lub z wiarą i szlachetnością jej właściwą, lub z pesymizmem, ironią i gorzką tęsknicą. Jest w tym okresie raczej „melancholijnem zwierzęciem", jak sama swój stan określa. Nie wybucha już, jest uciszonym boleśnie wulkanem, obserwującym zakrzepłe góry swej lawy, zatrzymane w pełnym wylewie. Wyrzeka się bujnej przyszłości, godzi się z dniem, „pije kropla po kropli ocean, którego nie może przepłynąć wpław".

W 1835 wytacza sprawę sądową o separację z mężem. Chce mieć dzieci przy sobie i sama je wychowywać.

W 1836 jedzie z dziećmi do Szwajcarji. Zbliża się tam serdecznie z piękną hrabiną d'Agoult, która dla Liszta porzuciła męża i mieszka razem z nim. Po powrocie urządza się w Paryżu, obok swej nowej przyjaciółki; tworzą jedną kolonję artystyczną. Pozostaje w bliższej przyjaźni z Ewerardem (Michel de Bourges), głośnym adwokatem i politykiem, który prowadzi

jej sprawę i wywiera na nią wpływ polityczny, ale i z nim się niedługo rozstanie, rozczarowana dotkliwie. Z końca tego okresu datuje się jeszcze jej związek miłosny z p. Mallefille'm, który przetrwa aż do zdecydowanego bliższego stosunku z Szopenem; o p. Mallefille'u pani Sand nie robi nigdzie wzmianki publicznej: musiała to być postać drugorzędna w jej niespokojnych uczuciach.

W 1837 (latem) mieszka w Nohant i gości u siebie panią d'Agoult z Lisztem i bliższem gronem. Stąd jedzie wezwana do umierającej matki, pielęgnuje ją w Paryżu do ostatnich jej chwil i grzebie. Wyrusza z synem na kilka dni do Fontainebleau. Przez ten czas mąż jej, żeby dokuczyć pani Sand, wykrada z Nohant córkę, Solange. Pani Sand jedzie do męża, układa się z nim i, jak sama powiada, za 50 tysięcy franków nabywa dwoje pięknych dzieci, kończąc tym układem proces małżeński.

Powraca do Nohant na zimę i oddaje się wychowaniu dzieci.

Do tych to ostatnich czasów pobytu w Nohant należy rozdział w dzienniku poufnym pani Sand, zatytułowany: „Rozmowy codzienne z bardzo uczonym i bardzo biegłym doktorem Piffoëlem, profesorem botaniki i psychologji. 1837." (*Entretiens journaliers entre le très docte et très habile docteur Piffoël, professeur de botanique et de psychologie.* 1837.) (Dr. Piffoël — to przydomek, jaki żartobliwie nadali pani Sand Liszt i pani d'Agoult, łącznie z nią samą, z racji orlego jej nosa — jak *pif* — faja — coś w rodzaju: nochal,

nosacz. Dzieci pani Sand w tym rodowodzie żartobliwym zwą się *Piffolini*. List Balzaka do pani Sand).

Rozpatrzmy się bliżej w tym piffoëlowskim dzienniku.

Rozprawia tam i przekomarza się pani Sand z dr. Piffoëlem, t. j. ze swym duchowym sobowtórem: serce i uczucie dyskutuje z głową i inteligencją.

„Piffoëlu, Piffoëlu, jakiż spokój straszny w twej duszy! Czyżby już pochodnia zagasła?

„Bądź pozdrowiony, Piffoëlu, pełny łask. Mądrość z tobą. Wybrany jesteś między wszystkiemi omamami: owoc twego cierpienia dojrzał. Święty znoju, matko pokoju, zstąp na nas, biednych marzycieli, teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen.

„Uważaj, Piffoëlu! Otoś wszedł na jeden z wierzchołków góry. Trzeba lub rozwinąć lot ku chmurom, lub stoczyć się na ścieże kamieniste, nazbyt już znane. Zstępować lub wstępować! Byłoby to piękne zadanie, gdybyś był silny. Ale pióra ze skrzydeł wypadają starym krukom. Czekaj i patrz w głąb doliny, bo niebo się zamknęło, i nie masz nic do nauczenia się od niego, prócz tajemnic śmierci".

Rozmowy z Piffoëlem są arcydziełem wyrazu duszy, arcydziełem literackiem i psychologicznem — duszy purpuratki, która, jak sęp zmroczony, na wysokiej skale, surowa, osamotniona, patrzy wdół niezmrużenie na królestwo swe zwaliskowe.

Jaki ton w nich! Jaka krytyka nieubłagana duszy, jaka bystrość spojrzenia genjalna, jaka gorycz bezbrzeżna, jakie oburzenie święte w ocenie świata i życia: wychowania, miłości, stosunków społecznych, małości ludzkiej, obłudy i fałszu — całego rzekomego „postępu", z którego przyszłość śmiać się będzie! Z czegoż bo ona śmiać się nie będzie? Będzie się śmiała z naszych zwątpień, z naszych strachów, z naszych nadziei. „Zwłaszcza będzie się śmiała z naszego zaskorupienia. Zabawi się ona widokiem, śród tego wieku, pokolenia ginącego, nakazującego zachowanie swoich wad, i pokolenia męskiego, domagającego się wolnej uprawy swoich wad. Po jednej stronie zobaczy ona ludzi dawnej władzy, obrońców starej monarchji, domagających się potu ludu w imię Świętego Krzyżma i panujących z kradzieży, ale kradzieży spokojnej, uświęconej, milczącej. Po drugiej stronie — kradnący z włamaniem, bandyci, mordercy, ludzie Filipowi, nowo-wzbogaceni (*nouveaux-riches*), mocarze dnia. Trzeci chór śpiewa dokoła areny. Są to dzieci wieku, ci, którzy, wśród dwóch tych sposobów kradzieży, chcieliby znaleźć najłatwiejszy i najpewniejszy. O, wstydzie! Ta nowa metoda będzie li odkryciem, które przekażemy potomstwu?"

Dusza jej wzbiera często nadmierną, prawie złowrogą goryczą. Koi ją muzyka Liszta, przebywającego w Nohant. A jak ona rozumie jej wyraz, jej istotę! Można-ż subtelniej i wdzięczniej określić wrażenie z urywanych fraz muzycznych, które rzuca Liszt na fortepian, gdy komponuje i sprawdza, a które ona słyszy w ogrodzie:

„Lubię te frazy urywane, które on rzuca na fortepian, a które zatrzymują się na jednej stopie w powietrzu, pląsając w przestrzeni, jak kulaskowie swa-

wolni. Liście lip biorą na się dokończenie melodji, cichutko, szeptem tajemniczym, jakgdyby zwierzały jeden drugiemu sekret przyrody".

Patrząc w noc gwiazdzistą i czując, mimo wszystko, swe odkupienie w cierpieniu, czując, że serce jej jest dobre i że sumienie jej świadczy o tem, rzuca wynurzenie swej religji przyrody, brzmiące, jak tony hymnu.

„Gwiazdy śliczne! To ja jestem tym drobnym punktem tego drobnego świata, ja, atom biedny, pełny miłości dla was, pełny wiary w was. W każdej godzinie nocy pozdrawiam chwałę waszą, wasz pierwszy promień, gdy, wychodząc z oparów waszego horyzontu, ukazujecie się na wschodzie w waszych szatach złotych. To ja śledzę wasz bieg szybki, gdy opuszczacie się na drugą półkulę i uciekacie melancholijnie, błyszczące, jak oczy, pełne łez, ku innym ciemnościom, gdzie być może nie macie ani jednego wielbiciela równie żarliwego, jak ja".

Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia jeszcze dłuższego jednolitego fragmentu, który obrazuje i nastrój letni w Nohant, i wartości artystyczne pióra pani Sand — wartości, pod któremi podpisałby się pierwszorzędny mistrz dzisiejszy.

Oto ten fragment:

12 Czerwca (1837).

„Tego wieczoru, podczas gdy Franz*) grał najfantastyczniejsze melodje Szuberta, księżna**) prze-

*) Liszt.

**) Hrabina d'Agoult.

chadzała się w cieniu dookoła tarasu; była ubrana w jasną suknię. Wielki woal biały okrywał jej głowę i prawie całą jej kibić wysmukłą. Chodziła krokiem miarowym, który, zdawało się, nie dotykał piasku i zakreślał krąg wielki, przecięty na dwoje promieniem lampy, dookoła której ćmy ogrodowe tańczyły szalone sarabandy. Księżyc kładł się po za wielkiemi lipami i rysował w powietrzu niebieskawem widmo czarne sosen nieruchomych. Pokój głęboki panował śród roślin, powiew wyczerpany śmiertelnie padł na długie trawy przy pierwszych akordach wzniosłego instrumentu. Słowik walczył jeszcze, ale głosem trwożnym i omdlałym. Zbliżył się w ciemnościach listowia i zawiesił swój głos ekstatyczny, jak doskonały muzyk, jakim był, w tonie i w mierze.

Siedzieliśmy wszyscy na peronie*), uchem baczni na frazy to czarujące to ponure Erlköniga (Króla olch); zdrętwiali, jak cała przyroda, w błogości smętnej, nie mogliśmy oderwać wzroku od kręgu magnetycznego, zakreślanego przed nami przez niemą Sybilę w białym woalu. Zwolniła nieco kroku, gdy artysta przechodził przez szereg modulacyj, dziwnie smutnych, do czułej melodji.

Wówczas chód jej przybrał rytm pośredni między *andante* i *maestoso,* i wszystkie jej ruchy miały tyle wdzięku i harmonji, iż rzekłbyś, że dźwięki wychodziły z niej, jak lira żywa. Gdy przecinała zwolna promień lampy, woal jej biały rysował się na czar-

*) Schody na terasie w Nohant, prowadzące wdół do jadalni.

nem tle obrazu konturem cienkim i wytwornym, podczas gdy reszta spływała błędna i mglista w tajemnicy nocy. Potem zbliżała się do nas, jakgdyby chcąca spocząć na bzach białych. Ale, nieuchwytnie, jak cienie, zacierała się zwolna. Zdawało się, że nie ona zagłębia się pod ciemne sklepienia listowia, lecz że ciemność oto zabiera ją i pociąga w swe głębie, zgęszczając dokoła niej zasłony mroków. Na końcu tarasu zaledwie była widzialna, potem ginęła całkowicie w sosnach i ukazywała się naraz w promieniu lampy, jak twór samorzutny światła. Potem zacierała się jeszcze i płynęła niepewna i błękitnawa po polance. Usiadła wreszcie na gałęzi chwiejnej, która nie więcej się ugięła, niż gdyby miała na sobie widmo. Wówczas muzyka ustała, jakgdyby więź tajemnicza przywiązała życie dźwięków do życia tej pięknej kobiety bladej, która, zdawało się, gotowa jest ulecić ku okręgom nieprzebranej harmonji.

Powstała, ruchem niewyrażalnym wzniesienia się chynęła lekko ku górze peronu i zniknęła w ciemnej dali. W chwilę potem zobaczyliśmy prawdziwą kasztelankę średniowieczną, przechodzącą przez salę sąsiednią w świetle świeczników. Włosy płowe promieniowały, jak aureola ze złota, i woal jej biały, rzucony na jej ramiona, ulatywał, jak obłok w ruchu szybkim i lekkim jej kroku władczego. Palce błądzące po fortepianie umilkły, światła zgasły, i wizja wróciła do nocy!"

W obrazie tym życia sielskiego w Nohant niema jeszcze Szopena, ale cień jego snuje się już tu bliski w zagłębiach Przeznaczenia.

W rekapitulacji tego do — Szopenowskiego okresu pani Sand, pod datą jesieni 1837: czuje się ona, jak Żyd wieczny tułacz, nie wolno jej umrzeć, nie wolno jej odpocząć. Wie, że siła jej jest niewyczerpalna, dlatego jest spokojna. Wie, że spokój jej jest niemożliwy, dlatego jest obojętna na wszelki rodzaj pracy, jaki się nadarza: nie liczy złych dni i nie oczekuje lepszych.

Tu się przerywa dziennik i poczyna znowu, po dwuletniej prawie przerwie, pod datą: czerwiec 1839, już bardziej ożywiony, nie dotycząc atoli zgoła spraw miłości.

---

duszy Szopena, dla głębi jej ukrytej jakby nieosobowo: oto zerwanie to usunęło odrazu deskę, łączącą jego okręt życiowy, jego wędrówkę oceanową tułacza, z lądem jego rodziny i Polski, z widokami rojonemi chociażby powrotu. Wszystkie, nie uświadomione może wyraźnie, nadzieje żywotne ciepła tego związku, tego ogniwa ojczysto-rodzinnego, zostały odrazu i na zawsze zerwane. Zostawał tułacz do śmierci — już sam na zmrożonym oceanie życia i na wzburzonem morzu sztuki. *Vogue la galère!*

Ten fakt, w losach tajemnych duszy, był, zdaniem mojem, przyczyną zbliżenia się Szopena do pani Sand i całego stąd dalszego z nią stosunku, jak również przyczyną, w związku już z tym stosunkiem pozostającą, rozwoju choroby Szopena. Mikrob śmiertelny, nie odpierany już siłą nadziei i ducha, rozpoczął swą władzę nad ciałem.

Poznanie się pani Sand z Szopenem nastąpiło prawdopodobnie u pani d'Agoult, do której Liszt wprowadził, oczywiście, swego druha. (Przyjaźń datowała się od przyjazdu Szopena do Paryża; portret Liszta był jedynym z portretów, jaki zdobił salon Szopena.) Sama pani Sand pisze w Historji swego życia (tom IV): „U niej lub przez nią zawarłam znajomość z Eugenjuszem Sue, baronem d'Ekstein'em i Szopenem". Było to, mniemam, latem 1837, czyli na kilka miesięcy przed zerwaniem narzeczeństwa Szopena. Pierwsze wrażenie, jakie wywarła pani Sand na Szopenie, było wręcz niekorzystne. W jednym z listów pisze do rodziny: „Poznałem wielką znakomitość, panią Sand, ale twarz jej niesympatyczna, nie podoba mi się, jest w niej coś odpychającego". Hiller poza tem pisze do Liszta: „Jednego wieczoru zgromadziłeś u siebie znakomitości literackie. Była tam, oczywiście, i Georges Sand. Wracając do domu, Szopen rzekł mi: „Co za antypatyczna kobieta ta pani Sand! Jest li to naprawdę kobieta? Gotów jestem wątpić o tem".

Nie należy, zresztą, przywiązywać do słów tych całego znaczenia bezpośredniego. Należy, owszem, wnosić z nich, że Szopen został zaintrygowany i stara się zagadkę rozwiązać. O kobiecie, zupełnie dla nas obojętnej, zazwyczaj nie mówimy. Pani Sand była milcząca w towarzystwie, i twarz jej, z maską Wenery z Milo, była wtedy bezmyślna i nie zajmująca (taka jest na biuście marmurowym w *foyer* Komed. franc.). Oczy tylko ogromne, błyszczące mówiły tajemniczo i obiecująco. Cała jej wartość wymowna okazuje się dopiero w jej dziełach i w jej uściskach empirejskich, jak to zobaczymy za chwilę.

Po poznaniu, pani Sand zaprasza Szopena do Nohant. Szopen nie pojechał. W lipcu tego roku jest w Londynie. Możliwą jest rzeczą, że we wrześniu był w Ems. W październiku zerwanie z narzeczoną. Potem tracimy go z widoku. W lutym dopiero 1838 widzimy go w Londynie, gdzie gra u dworu.

Z 2 marca 1838 mamy list Balzaka do pani Hańskiej, w którym, ze swoją poczciwie uśmiechniętą kpiną, opisuje panią Sand. Oto jest ten list:

„Dotarłem do pałacu Nohanckiego, w tłustą sobotę, koło pół do ósmej wieczorem, i zastałem towa-

rzyszkę Georges Sand w szlafroku, palącą cygaro po obiedzie, w ogromnym, pustym pokoju. Miała piękne, żółte pantofle na nogach, ozdobione frendzelkami, zalotne pończochy i czerwone spodnie. Tyle — co do strony moralnej. Co do fizycznej, podwoiła swój podbródek, jak ksiądz kanonik. Nie ma ani jednego siwego włosa, pomimo swych strasznych nieszczęść; cera jej śniada nie zmieniła się; piękne jej oczy są tak samo błyszczące; ma minę tak samo głupią, kiedy myśli, albowiem, jak to jej powiedziałem po stwierdzeniu, cała jej fizjonomja jest w oku. W Nohant bawi od roku, bardzo smutna i ogromnie zapracowana. Kładzie się o szóstej rano i wstaje w południe". Rozmawiali o Juljuszu Sandeau, który ich zawiódł oboje. „Była ona jednak jeszcze nieszczęśliwsza z Mussetem, i oto jest w głębokiem ustroniu, potępiająca zarazem małżeństwo i miłość, gdyż w jednym i drugim stanie znalazła tylko zawody".

„Nie jest ona miła, a przeto będzie tylko z trudem kochana. Jest ona chłopcem, jest artystą, jest wielka, szlachetna, oddana, czysta: ma rysy męskie, *ergo*, nie jest kobietą". I dalej jeszcze: „Wreszcie, jest to mężczyzna, o tyle bardziej mężczyzna, że chce nim być, że wyszła z roli kobiety, i nie chce być kobietą. Kobieta przyciąga, a ona odpycha, a ponieważ ja jestem bardzo mężczyzną, więc jeżeli sprawia na mnie takie wrażenie, musi je wywierać na mężczyzn, którzy są do mnie podobni; będzie zawsze nieszczęśliwa. Tak więc, kocha ona teraz mężczyznę, który jest niższy od niej *),

*) Mowa o Malletille'u, kochanku pani Sand.

i w tym oto układzie masz tylko rozczarowania i zawody dla kobiety, która ma piękną duszę..."

Jak widzimy, list ten nie znamionuje zgoła nowego opromienienia miłosnego pani Sand. Rzeczy są jeszcze w stanie dawnym.

Tego samego dnia, kiedy Balzak pisał swój list, Szopen grał na koncercie pianisty Alcana, a w kilka dni potem w Rouen, gdzie urządził koncert na rzecz rodaka swego, prof. Orłowskiego. Koncert wzbudził entuzjazm. „W sali były ciągłe drżenia elektryczne, owe szmery zachwytu i zdumienia, które są oklaskami duszy", pisał Legouvé jednem pasmem uniesień swą krytykę w *„Gazette musicale"*.

Z tegoż okresu mamy wizerunek artystyczny Szopena, skreślony brylantowem piórem Heinego w *„Revue dramatique"* stuttgarckiej: „Polska dała mu swój sentyment rycerski i swe cierpienia historyczne, Francja — wykwint lekki i wdzięk, Niemcy — głębię marzycielską...; ale przyroda dała mu postać smukłą, zalotną, nieco chorobliwą, serce najszlachetniejsze i genjusz. Trzeba się zgodzić, istotnie, że Szopen jest genjuszem w całem znaczeniu wyrazu. Jest on nietylko wirtuozem, lecz razem i poetą: może nam odsłaniać poezję, jaka jest w jego duszy. Jest to muzyk-poeta, i nic nie może się równać z rozkoszą, jaką on daje, gdy improwizuje na fortepianie. W takiej chwili nie jest on ani Polakiem, ani Francuzem, ani Niemcem; zdradza on wyższy początek: pochodzi z kraju Mozarta, Rafaela, Goethego, i ojczyzną jego prawdziwą jest kraina poezji".

Tak stały rzeczy aż do maja 1838. Maj jest miesiącem zdradzieckim miłości. Wszyscy wielcy ludzie, tak samo jak mali, zakochują się najczęściej w maju.

Szopen spotyka się już po raz drugi czy trzeci z panią Sand, może nawet tym razem w swym własnym salonie, na jednem z zebrań, które opisał tak świetnie Liszt, w swej książce o Szopenie, aczkolwiek zbyt, zda się, sumarycznie zgromadził wszystkie gwiazdy, począwszy od Heinego i Meyerbeera, skończywszy na Niemcewiczu i Mickiewiczu. Jest tam i pani d'Agoult, „której blond loki odbijają się w zwierciadle". Zapraszając ja, musiał, oczywiście, zaprosić Szopen i panią Sand. I oto „pogrążona w fotelu, z łokciami na konsoli, pani Sand jest ciekawie baczna, wdzięcznie uległa".

Szopen gra. Pani Sand, jak wąż swą ofiarę, magnetyzuje go swemi urocznemi oczyma, a raczej pewną władzą duszy, którą umie natężać, rzutować, i nią, jak rybak siecią, osnuwać i przyciągać, nie używając słów, mężczyznę, który się jej podobał. Drażni ją, że Szopen nie zwraca na nią uwagi. Wszak ona jedna umie kochać... Zagięła na niego parol. Zresztą, obecnie jest prawdziwie wzruszona muzyką. Jak jakiś kłąb spazmu, zapada ona w jej pierś i tem bardziej do miłości pobudza...

Szopen gra. Salon zamienia się w jakąś niepamiętną krainę wewnętrzną, siedlisko obłoczne dusz, skroś łzy widziane, gdzie wszyscy temi czystemi duszami, od ciała oddartemi, łkają, opowiadając więzienie, w jakiem pozostawali, i biadając, że znów muszą

wracać do niego. Takiego poczucia wolności duszy i nieszczęścia niewoli jej w ciele żaden jeszcze artysta nie wzbudzał. Artysta? — Nie! To dusza sama anielska gra, oddzierająca się od ciała i krwią swych ran triumf śpiewająca! Triumf nadziei wbrew nadziei!

Oklasków niema. Wszyscy zanadto przejęci, wszyscy nad duszami swemi pochyleni.

Szopen blady zbliża się do pani Sand. Ona patrzy na niego jakiemś przerażeniem zachwytu. Usta jej drgają, jak w płaczu, lecz słowa nie wymówią. Naraz, ruchem raptownym, chwyta leżący na konsoli kawałek papieru, zanurza pióro w wykwintny kałamarz, prawdziwe dzieło sztuki, stojący tam obok czystych arkuszów nutowych, kreśli, jak rzutem piorunu, słowa: *„On vous adore — Georges"* i podsuwa bez namysłu kartkę Szopenowi.

Szopen odczytał kartkę i uniósł na autorkę jej w milczeniu oczy. Spotkały się z jej oczyma, pełnemi łez i ognia, pozostały tak przez dłuższą chwilę i, mniemam, ucałowały się w tym ogniu i w tych łzach.

Szopen złożył z namaszczeniem kartkę we czworo, ukrył ją na piersi, bez słowa powstał i z wielką wytwornością pocałował ją, po polsku, w rękę. Ręka jej dłużej zatrzymała rękę Szopena, jakgdyby nie mogąc oderwać się od niej.

Kiedy, po skończonym wieczorze, przy wyjściu, Szopen podawał okrycie pani Sand, przytuliła się nieznacznie jedwabiami swych piersi do jego piersi. Ciepło mocne i wonne wionęło od niej na Szopena i objęło

go całego zarzewiem. Rumieniec wystąpił na jego twarz.

Nocy tej Szopen spał niespokojnie.

Nazajutrz o szarej godzinie złożył jej wizytę w *l'hôtel de France* na *rue Lafitte*, gdzie wówczas mieszkała.

Zastał ją samą. Oczekiwała go. Mówili niewiele, rzucając słowa, jak łuski niepotrzebne, drżący i niecierpliwi owocu rychłego z pod nich. Wreszcie sama, w tym szarym wiosennym zmroku, rozchyliła mu swe ramiona. Wtulił się w nie, jak dusza wtula się w sen i opada na wezgłowia rojenia. Jak treść do swojej formy, jak duch do swego ciała, przywarł dopasowany. Ciepło niewolące, ciepło wonne, jedwabne, przypominające raje uścisków macierzyńskich, tylko razem tak inne, tak gorąco pojące, tak zawrotnie rozkoszne kształtem miękkim kobiecym, przykuło go już jak los mocny, decydując o śmierci i życiu. Usta ich pragnące same się odnalazły i dusze zatoczyły niepomnie. Niepomnie — niezupełnie, gdyż pani Sand w tem uniesieniu nadziemskiem rychle już błyskami trzeźwemi notowała w pamięci wrażenia, jako materjał do książki.

Trzeba znać naturę Szopena. Człowiek ten wytworny, nietylko zewnętrznie, lecz nadewszystko wewnętrznie, dusza nieskazitelna, ładem patrjarchalnym i cnotami polskiemi namaszczona, pomimo zewnętrznej swobody i zalotności, wyobraźnią natchnioną nieconej, w stosunku do kobiet nie znał namiętności i zmysłów rozpalenia. Cała jego namiętność szła na sztukę, cały

proces rozdźwięku duszy i ciała, proces pierworodny grzechu płci, w idealnym tym człowieku kierował się dotychczas nie na rzecz osobistą zmysłów, lecz na wyobraźnię twórczą, na dzieło muzyczne. Oburzyłbym panów fizjologów twierdzeniem, że do złączenia się węzłem miłosnym z panią Sand, t. j. do dwudziestego ósmego roku życia, Szopen pozostawał w czystości płciowej. Nie będę więc kruszył o to kopij, gdyż właściwie chodzi tu o co innego: chodzi o to, że dotychczas Szopen nie złożył na ołtarzu miłości razem swego ciała i duszy, i że nastąpiło to dopiero w stosunku do pani Sand. To jest pewne. Rozumiał on miłość i węzeł miłości poważnie, po chrześcijańsku, jako nierozerwalność, jako „dwie dusze w jednem ciele". Chciał zawrzeć związek małżeński i ideał ten urzeczywistnić. Los deskę mu do tego związku z pod nóg usunął. I wtedy ten sam los, dla duszy, której wżdy „ciężko samej na tej ziemi", nadarzył ciepło zawodne na próby i doświadczenia ogniowe, jak trzeba, by ideał zupełny artysty i człowieka wykształcić. I Szopen los ten już naoślep przyjął.

Światło, rzucone tu na naturę Szopena, wytłumaczy nam wiele rzeczy ze stosunku jego z panią Sand: wytłumaczy nam jego wymaganie wyłączności uczuć, tak niezrozumiałe dla pani Sand, wytłumaczy troskę jego o dzieci pani Sand, o ład moralny domu, o sankcję obyczajów, wytłumaczy mękę jego z powodu obcości jej duszy, z powodu odmienności poglądów i natury, wreszcie, potrzebę upojenia się fatalnego ciałem pani Sand dla zapomnienia nieszczęścia duszy.

Wszystko to w urok jeszcze większy przystraja nam Szopena.

Rzeczą krytyki muzycznej jest dopatrzyć się w utworach Szopena tego pogłębienia tonu, jakie spłynęło z pełnej realizacji jego życia — z bolesnej jego miłości.

Niedługo po tem pierwszem miłosnem sam na sam z Szopenem, 28 maja 1838, pani Sand pisze do swej przyjaciółki, pani Marliani. Surowy i mroczny Piffoël z „Dziennika poufnego" przekształcił się odrazu w dzierlatkę:

„Droga moja, piękna, otrzymałam twoje dobre listy i pilno mi odpowiedzieć ci g r u n t o w n i e, bo wiesz, że czas jest z m i e n n y w porze miłości.

„Mówi się wiele w jednym tygodniu t a k, n i e, o w s z e m, a l e, i często mówi się z rana: s t a n o w c z o t o n i e d o z n i e s i e n i a, by rzec wieczorem: z a p r a w d ę t o s z c z ę ś c i e n a j w y ż s z e.

„Oczekuję tedy, by ci napisać n a p r a w d ę, że barometr mój wskazuje coś — jeżeli nie stałego, to przynajmniej pewnego na jakiś czas. Nie mam najmniejszego wyrzutu sobie do zrobienia, ale to nie racja, by być zadowoloną".

Zdawałoby się, że przyczyną niezadowolenia pani Sand jest przyczepiony niepotrzebnie do jej życia obecnego p. Mallefille. Ale nie! Z nim jakoś da sobie radę. Jest gorsza alternatywa. Oto dowiedziała się (lub może tylko udaje, że nie wiedziała) o narzeczeństwie Szopena, i nie wie (to już prawdziwie), że jest ono zerwane. Pisze więc długi, bardzo długi i bardzo znamienny list poufny do Grzymały, przyjaciela Szopena, w którym, dbała o przyszłość artystyczną Szopena i obawiając się, że małżeństwo z Marją będzie grobem dla tej przyszłości, obmyśla środki, wręcz niedorzeczne, podziału osoby Szopena — wobec nowego faktu miłości, jeszcze niewinnej — na duchową dla siebie i fizyczną dla Marji. List ten mógłby uchodzić za wyraz niesłychanej perwersji moralnej pani Sand, gdyby nie słuszniejsze przypuszczenie, że ten pierwszy pocałunek nowej, i istotnie o innym dla niej aromacie moralnym, niż wszystkie dotychczasowe, miłości, poplątał w głowie tej mądrej, trzydziestoczteroletniej kobiety.

Ale niechaj mówi sama treść tego listu.

Nie chce ona odbierać Szopenowi Marji Wodzińskiej. „Nie chcę zgoła grać roli złego anioła. Nie jestem *Bertrandem* Meyerbeera i nie będę walczyła z przyjaciółką dzieciństwa, jeżeli jest nią piękna i czysta Alicja; gdybym wiedziała, że w życiu naszego dziecka był związek, uczucie w jego duszy, nie pochyliłabym się nigdy po woń, zachowaną dla innego ołtarza. Tak samo on niewątpliwie oddaliłby się od pierwszego mego pocałunku, gdyby wiedział, żem była jak zamężna. Nie oszukaliśmy zgoła jedno drugiego — oddaliśmy się podmuchowi przelotnemu, który nas uniósł oboje w inną krainę na kilka chwil".

Zapytuje tedy, czy Marja, czy ona, według Grzymały, jest potrzebniejsza dla szczęścia Szopena. „Zapytuję mianowicie, którą z n a s d w u ma on koniecznie zapomnieć lub porzucić dla swego spokoju, dla swego szczęścia, dla swego życia wreszcie, które

zdaje mi się być bardzo chwiejnem i wątłem, by przeciwić się wielkim bólom... Gdyby złożył istnienie swe w moje ręce, byłabym wielce przerażona, gdyż, zobowiązawszy się względem innego, nie mogłabym zastąpić mu tego, co byłby dla mnie porzucił".

Bóg tedy nie dozwolił, by odbyli pielgrzymkę ręka w rękę na ziemi. Spotykać się będą w niebie, t. j. w tej krainie, gdzie Szopen i miłość potrafili ją zaprowadzić, w krainie uścisków niebiańskich i podróży poprzez empirejskie sfery. „Chwile szybkie, jakie tam spędzimy, będą tak piękne, że starczą za całe życie tu spędzone".

Ale i tych uścisków niebiańskich wyrzeknie się, jeżeli Marja ma dać Szopenowi szczęście czyste i prawdziwe. „Jeżeli dusza jego, z b y t n i o—być może, n i e d o r z e c z n i e, być może, mądrze — sumienna, nie pozwala sobie na kochanie dwóch istot różnych, dwóch sposobów różnych, jeżeli ośm dni, jakie spędziłabym z nim corocznie, mają przeszkodzić mu być szczęśliwym w jego życiu domowem przez resztę roku; wówczas, tak, wówczas, przysięgam panu, że będę się starała, żeby on zapomniał o mnie". Ale jeżeli Szopen jest mniej skrupulatny, albo mniej szczęśliwy, „jeżeli szczęście jego domowe może i powinno pozwolić sobie na kilka godzin afektu (*passion*) czystego i słodkiej poezji" — albo jeżeli tego szczęścia domowego nie będzie, wtedy, oświadcza pani Sand, zamiast uciekać od tego, którego kocha, marzy o zbliżeniu się do niego, o ile można, (nie narażając, powiada, bezpieczeństwa Mallefille'a) o słodkiem przypomnieniu mu

się w godzinach pokoju i błogości, zamknięciu go z czystością niekiedy w ramionach, „gdy powiew niebiański zechce nas unieść i prowadzić w przestwory".

Ale zwłaszcza, jeżeli małżeństwo z Marją ma być grobem dla duszy artysty, o, wtedy należy przeszkodzić, nawet kosztem skrupułów religijnych Szopena. Jeżeli narzeczona ta ma być więzicielką, jaką jest Rosja dla Polski, pani Sand prosi niebo o wszystkie powaby Armidy, by zatrzymać biedne dziecko. Nawet jeżeli ją uwiódł, i jeżeli ją poślubia przez punkt honoru, niech nie czyni sobie tyle skrupułu. Nie powinno się dawać przyszłości wzamian za przeszłość: albowiem przeszłość jest ograniczona, przyszłość nieskończona. Najlepiej będzie, jeżeli serce Szopena, tak jak jej serce, zawrze dwie miłości, z których jedna będzie cielesna, druga duchowa.

„Co do sprawy posiadania czy nieposiadania, to zdaje mi się rzeczą drugorzędną w stosunku do tego, co nas zajmuje obecnie". Wyznaje, że nie ma zdania ustalonego co do tego. Jeżeli ma się żyć razem, lepsza łączność zupełna; jeżeli ma się żyć oddzielnie, roztropnością i prawdziwą cnotą będzie powstrzymanie się. Ale i wówczas trzeba jeszcze, by ta powściągliwość była ofiarą. Była ona bardzo urażona, gdy Szopen, w chwili pożegnania, okazał widoczną pogardę dla tego, czego ona nie odmówiłaby mu. „Zdawało się, że robił *fi*, wzorem nabożnisiów, na gburności l u d z k i e, i rumienił się na pokusy, jakich doznawał, obawiając się zbrukać naszą miłość jednem uniesieniem więcej..."

Po liście tym, nacechowanym całą sztuczną romantyką epoki i osoby leciwej pani Sand, wypadki poszły zwykłym trybem życiowym: Szopen uspokoił skrupuły pani Sand oświadczeniem o zerwaniu swego narzeczeństwa, i podróże w sfery empirejskie odbywały się już coraz częściej i coraz upojniej. Mamy z tych czasów najmniej wiadomości. Początki miłości zazdrośnie się ukrywają. Pani Sand pisze tylko (Historja mego życia), że w tych czasach widywała Szopena codziennie. Czy w Nohant, czy w Paryżu, nie wiemy. Trzeba się było liczyć jeszcze jakiś czas z p. Mallefille'm: stąd tajemnica. Wiemy tylko, że Szopen w tym roku najmniej tworzył i najmniej wydał utworów *). Pierwsza pora miłości nie sprzyja tworzeniu.

Tak upłynęło cztery miesiące. Zbliża się zima. Pani Sand projektuje wyjazd na Majorkę—rzekomo dla zdrowia dzieci. W Historji swego życia pisze (usprawiedliwiając się jakgdyby przed opinją, że wyjazd Szopena na tę wyspę był dla niego zabójczy), że Szopen sam się nastręczył jako towarzysz. Ale mamy dowód, że inicjatywa wyjazdu miała inny cel, wspólny, choć zarządzona była, tak płocho, niechybnie przez panią Sand. Oto w 1841 pisze w „*Revue des Deux Mondes*" na początku swych wrażeń z podróży, p. t. *Un hiver au Midi de l'Europe:* „Wszyscy my, szczęśliwi i nieszczęśliwi, próżniacy i nowopobrani, kochankowie i hipochondrycy, marzymy o jakiemś ustroniu poetycznem, wszyscy jedziemy tam, by znaleźć jakoweś gniazdo dla

*) Bidou, Chopin, str. 152.

miłości lub schron dla skonu". Tak więc *un nid pour aimer* było celem wyprawy pani Sand.

Wyruszyła sama z dziećmi w końcu października. Szopen miał nadjechać w początkach listopada, i mieli się spotkać w Perpignan, by jechać razem statkiem na Majorkę. Szopen wyjechał zupełnie *incognito* z Paryża: jeden tylko Fontana był wtajemniczony i miał mu nadsyłać listy. Skąd ta tajemniczość? Skąd wyjazd oddzielny? Miałżeby cień p. Mallefille'a grać tu jakąś rolę?

Tak czy owak, Szopen sam jeden, jak student, który trochę broi i sam się dziwi, że wyszedł z trybu swojej stateczności, trzęsącemi i niewygodnemi dyliżansami jechał w daleką podróż. W drodze, z biciem mocniejszem i niecierpliwszem serca, myślał o pani Sand, ze smutkiem i zasępieniem o swoich — hen — daleko... Za losu daleką zasłoną...

Z Perpignan na dwie godziny przed odbiciem statku pisze pani Sand do pani Marliani: „Szopen przybył wczoraj do Perpignan, świeży, jak róża, i różowy, jak rzepa: zresztą ma się dobrze, zniósłszy po bohatersku cztery noce swej jazdy dyliżansowej".

Statek *Phénicien* przewiózł ich do Barcelony.

NA MAJORKĘ! — VOGUE LA GALÈRE!

Dość podły statek żaglowy, *El Mallorquin,* odbywający drogę pomiędzy Barceloną i Palmą, portem na Majorce, wyruszył, jak zwykle, na noc z Barcelony.

W godzinę już po zdjęciu kotwicy, na pokładzie zaległa ciemność i cisza. Sen ogarnął podróżnych, i statek, zdało się, posuwał się bez pieczy ludzkiej, własnym swym odruchem.

Dzieci pani Sand ułożyły się również do snu. Nie spał tylko Szopen i pani Sand. Siedząc obok siebie na niewygodnych leżakach, patrzyli w ciemną noc i morze fosforyzujące, każde ze swemi myślami, puszczonemi na wolę ducha.

Naraz rozległ się nieśmiały i powolny, jakgdyby nie chcący urazić ciszy, śpiew. To sternik poczciwy u rudla, z obawy snać, by nie zasnąć, począł ten śpiew, i śpiewał już tak przez całą noc, „ale głosem tak łagodnym i nikłym, iż, rzekłbyś, obawiał się, by nie zbudzić ludzi z drzemki chwilowej, lub jakby sam był napoły uśpiony“ *).

*) *G. Sand:* Un hiver au Midi de l'Europe.

Szopen i pani Sand poczęli przysłuchiwać się temu śpiewowi, i już słuchali go ciągle, był to bowiem śpiew jeden z najdziwniejszych.

„Rytm jego i modulacja odbiegały od wszelkich naszych zwyczajów i zdawały się puszczać głos na los, jak dym z budynków, unoszony i chwiany przez powiew. Było to raczej marzenie senne, niż śpiew, rodzaj wałęsania się niedbałego głosu, gdzie myśl mało brała udziału, ale które szło za kołysaniem się okrętu, lekkim szumem wiru wodnego, i było podobne do luźnej improwizacji, zamkniętej jednakże w formy łagodne i jednostajne“ *).

I oto, pod tę melopeję tęskną, rodem ze wschodu, przygnaną tu losami wieków i tak krewną z melopeją słowiańską, poczęła wzbierać w Szopenie rzewna pamięć rodzima. Przed oczyma duszy stanęła Żelazowa Wola urocza, pierwsze dzieciństwa zabawy, siostry kochane: Ludka, Izabelka i biedna Emilka **), i matka uwielbiana. Pola zbożowe, łąki strojne, lasy polskie, jak nigdzie — szumiące, śpiewy dziewcząt, od żniw wracających.

Potem Warszawa — Żywny, poczciwy i mądry, grać go uczący... W ósmym roku życia gra już na koncercie — cała arystokracja polska z rąk sobie to

*) G. Sand. Un hiver...

**) Ludwika poślubiła Józefa Kalasantego Jędrzejewicza, profesora prawa w Marymonckim Instytucie Agronomicznym; Izabela — Antoniego Barcińskiego, inspektora gimnazjalnego w Warszawie i, koło 1860, dyrektora żeglugi parowej na Wiśle. Emilja umarła w 14-stym roku życia.

cudo wyrywa — gra u księżnej Łowickiej; tępy książę Konstanty go słucha — on oczy ma wciąż w sufit wlepione, aż głupi książę zapyta: „Mały! Co patrzysz tak ciągle na sufit? Czy widzisz tam nuty?“

Potem liceum — ojciec tam wykłada — i konserwatorjum, i mądry przewodnik Elsner, uczący go harmonji i kontrapunktu, piszący mu w świadectwie: „Lekcje kompozycji muzycznej: Szopen Fryderyk, uczeń trzecioroczny, zdolności zdumiewające, genjusz muzyczny“.

Pierwsi przyjaciele, koledzy z liceum: Tytus Wojciechowski i Aleksander Rembieliński, i Kolberg, i Jan Matuszyński, i Stanisław Koźmian, Hube, Celiński, dwaj poeci: Eustachy Marylski i Dominik Magnuszewski, oprócz tego Fontana. Wszyscy do dziś wierni świętem uczuciem przyjaźni.

Przypomina zabawy w czternastym roku życia. Na imieniny ojca pisze z Emilką komedję (O! Emilka była poetką! Z Izabelką do współki przetłumaczyła książkę opowiadań Salzmana. Ale i Ludwika pisała książki dla dzieci!). Piasecki zawsze mówił: „Szopen — to wielki aktor!“ A on się znał na tem! Mój Boże!

Wakacje w Szafarni u druha Dominika Dziewanowskiego, gazetka humorystyczna, z taką werwą tam układana, wędrówki w pole, pieśni mazurskie słuchane...

W piętnastym roku już ścisła karjera: gra na dwóch wielkich koncertach, które urządza prof. Javurek, improwizuje na nowym aelopantaleonie. Okazuje aelomelodykon cesarzowi Aleksandrowi I-mu. Komponuje pierwsze utwory: *Rondo* (*c-mol*), które poświęca pani Lindowej, żonie rektora liceum, potem tuż *Polonez* (*b-mol*), dwa *Mazurki* (*g-dur* i *b-dur*) i *Warjacje na melodję niemiecką*.

Odwozi w wakacje chorą Emilkę wraz z Ludwiką do Reinerz na Śląsku — potem w Strzyżewie u pani Wiesiołowskiej, chrzestnej swej matki — i pałac Antoniński: książę Radziwiłł i księżniczki, z któremi muzykuje — i ciągle tworzy, ciągle skrzydła rosną.

Studja skończone — w Warszawie już sławny. Już Schumann o nim kreśli swe zachwyty, powiada światu, okazując jego utwory: „Panowie! czapki z głowy! Genjusz!“

Berlin i Wiedeń, i Praga, i Drezno — koncert wiedeński w cesarskim teatrze — zachwyty prasy — sława, jak rumak, po szerokim świecie obiega, tętniąc rozgłośnie.

Powrót — i miłość pierwsza młodociana. Panna Konstancja Gładkowska — sen czysty. Miłość bez słowa, bez zwierzeń — w melodje tylko muzyczne zaklęta.

Znów Antoniny i fawory księcia, by go w Berlinie ustalić przy sobie. Lecz Szopen nie chce: świat go wielki woła, świat sztuki i świat tęsknoty.

Z plonu już okazałego swych dzieł trzy koncerty w Warszawie — koncerty już pożegnalne. Smutne przeczucia — rozterka miłosna — postanowiony wyjazd do Paryża. Wie, że nie wróci i że umrze zdala.

Aż przyszła wreszcie chwila pożegnania.

Dzień 1 listopada 1830.

Na uroczysty bankiet przyjaciele obrali zacnie Żelazową Wolę: miejsce, gdzie światło 20 lat temu ujrzał raz pierwszy...

Stamtąd wyruszył, tam wszystko pożegnał.

Elsner poczciwy kantatę utworzył, z konserwatorjum uczniowie śpiewali. — Ofiarowano mu tam puszkę srebrną: w niej polska ziemia droga — płakał wtedy.

Paryż — i sława — droga na wyżyny — i „moja bieda"...

Przez duszę Szopena przeciągają obrazy, jak pługiem ostrym krajane, obnażające wspomnienia dożywa.

Idzie za niemi, jak rolnik strapiony, niedolę swą oglądający. Zaśnił się niemi boleśnie.

Przed każdem z nich dusza się ścina i patrzy niema z żałości.

„Mój Boże! Mój Boże!" Nad to biadanie nic więcej oświadczyć nie jest w mocy.

A one suną wciąż — barwą, krasą, rajem straconym świecące, bieży do nich uśmiech śród płaczu i ręce wyciągnięte...

Szarpnięcie mocniejsze statku zbudziło go.

„Gdzie jestem?" Noc ciemna, pustka i głusza... I śpiew ten senny... W jakąż to przepaść się niesie?

Matko, ojcze, Ludwiko, Izabelo...

Dreszcz przeszedł go zimny — przypomniał, gdzie się znajduje.

Otulił się — drżąc—szalem, wyciągnął rękę w ciemności, objął szyję pani Sand i przygarnął ją ku swej piersi. Podała mu się twarzą i ustami.

Przylgnął do nich wargami i wycisnął pocałunek długi, ratujący się, pełen rozpaczy.

Po chwili pani Sand szeptała:

— Tak mocno całujesz, tak przepastnie...

— Ty jesteś moją przepaścią! — odrzekł jej głosem zmienionym.

— Całujesz tak, jakbyś zamykał wieko trumny!

— Ty jesteś moją trumną! — rzekł, jak błędny, zamykając ją w swoich objęciach.

A pani Sand patrzyła w noc ciemną i rozmyślała, jak dobre jest porównanie: miłości do trumny, a pocałunków do wieka, zamykającego tę trumnę. Zużytkuje to w najbliższej powieści...

— Chodźmy do kajuty — ozwała się po chwili: — Noc świeża... Drżysz...

Powstała i szła przodem w ciemności. A ztyłu, z ręką na jej ramieniu, omackiem, jak ślepiec, posuwał się drżący Szopen.

Śpiew sternika ciągle majaczył w ciemności.

Dajmy teraz głos pani Sand. Uważaliśmy za właściwe, a nawet za niezbędne, podanie raz wszystkiego w przekładzie, co wyszło z pod pióra pani Sand o Szopenie w *Historji jej życia*. Drogie są dla nas te wspomnienia, pomimo nieujawnienia w nich całej prawdy, bądź ze zrozumiałych względów prywatnej tajemnicy miłosnej, bądź z chęci pani Sand ocalenia siebie w opinji od zarzutów złamania życia Szopena. Zanadto bije w oczy w tych wspomnieniach wystawianie przez panią Sand macierzyńskiej swej miłości dla Szopena, zanadto wiele mówi pani Sand o swem poświęceniu dla niego, byśmy nie mogli dopatrzeć pod tem smutnego

oblicza naszego bezbronnego Arjela i zapytać: „Tak! Ale skąd ta czułość macierzyńska przez 8 lat dla mężczyzny u kobiety, która wogóle żadnych obowiązków nie uznawała dotychczas w stosunku do mężczyzny? Nie byłżeby to głos obudzonego przez tegoż mężczyznę sumienia pani Sand i światła w niem nadprzyrodzonego, poczuwających się niewolnie, po raz pierwszy, wobec majestatu duchowego tego mężczyzny, do odpokutowania osobistego za tę krzywdę“? Gdzież więc tu poświęcenie?

Nie obawiajmy się przeto pewnego zaćmienia jasnej postaci Szopena przez panią Sand w rzeczach uczucia i ścisłego ich pożycia, rozświetlenia natomiast sztucznego swej osoby w tych jej wspomnieniach. Urok nieśmiertelny wzniosłego ducha Szopena, biel nadprzyrodzona jego ideału, były snać dla niej, pomimo niezrozumienia ich całkowitego, tak wielkie, że nawet czelność jej pióra chwieje się pod niemi zdrętwiała i, czujesz, jak kolana jej gotowe są ugiąć się zaraz. W sercu jej pozostaje, mimo zakląć nabożnych, mimo świadczącego się głośno sumienia, cień przykry zapytania, idący od bram Wieczności. Jest li i wobec nich także niewinna?

Poddamy, zresztą, krytyce i analizie te jej wspomnienia. Wykażemy sprzeczności, dopełnimy, ile można, luki, i dotrzemy może do prawdy, pod niemi spoczywającej.

Tymczasem niech mówią one.

PANI SAND O SZOPENIE.

(WYCIĄG Z *HISTOIRE DE MA VIE*, W PRZEKŁADZIE).

(Omówiwszy w rozdziale XII, (część IV tomu IV), Histoire de ma vie, wypadki przed rewolucją lutową w Paryżu: pojedynek pomiędzy Carrel'em i de Girardin'em, słynnymi podówczas pisarzami politycznymi, śmierć w tym pojedynku Carrel'a, i następnie stosunek swój przyjazny z Everardem, słynnym politykiem i adwokatem ówczesnym (prowadził on w tym czasie proces małżeński pani Sand), stosunek, który się rozchwiał wskutek różnicy poglądów na metody w przekonaniach socjalistycznych i radykalnych, którym oboje hołdowali, śmierć wreszcie fatalną jego — pani Sand przechodzi do wspomnień o Szopenie.)

Jest inna dusza, niemniej piękna i czysta w swej istocie, niemniej chora i niespokojna na tym świecie, którą odnajduję z jednakim spokojem w mych obcowaniach z umarłymi, i w mojem oczekiwaniu tego lepszego świata, gdzie wszyscy winniśmy się poznać po promieniu światła żywszego i bardziej boskiego, niż promień ziemski.

Mówię o Fryderyku Szopenie, który był gościem ośmiu ostatnich lat mego ustronnego życia w Nohant za monarchji.

W 1838, kiedy Maurycego ostatecznie mi oddano*), postanowiłam poszukać dla niego zimy łagodniejszej, niż nasza. Miałam nadzieję ustrzec go w ten sposób od powrotu okrutnych reumatyzmów roku ubiegłego. Chciałam znaleźć jednocześnie miejsce spokojne, gdziebym go mogła zająć trochę pracą, tak samo, jak i jego siostrę, i pracować sama bez wysiłku. Zyskuje się wiele czasu, gdy się nie widzi nikogo, zmuszonym się jest czuwać znacznie mniej.

Kiedy robiłam projekty i przygotowania do wyjazdu, Szopen, którego widywałam codziennie i którego genjusz i charakter kochałam czule, rzekł mi kilkakrotnie, że, gdyby był na miejscu Maurycego, ozdrowiałby sam rychle. Uwierzyłam, i omyliłam się. Wzięłam go w podróż nie na miejsce Maurycego, lecz razem z Maurycym. Przyjaciele jego zniewalali go już oddawna, by wyjechał spędzić jakiś czas na południu Europy. Miano go za suchotnika. Gaubert zbadał go i przysiągł mi, że nie jest suchotnikiem. „Ocali go pani istotnie — rzekł mi — jeżeli da mu pani powietrze, przechadzki i spokój". Inni, wiedząc dobrze, że Szopen nie zdecyduje się nigdy na porzucenie ludzi i życia paryskiego, jeżeli ktoś kochany przez niego i oddany mu nie skłoni go do tego, naglili mię żywo, bym nie odtrącała pragnienia, jakie zgłosił tak w porę i tak nieoczekiwanie.

*) Jedno z dzieci pani Sand, zwrócone jej ostatecznie przez jej męża, z którym się rozstała, po procesie i układzie małżeńskim. Drugie dziecko — córka Solange. W tym roku Maurycy miał 9, Solange — 14 lat. Matka — 34.

Zrobiłam głupstwo, rzeczywiście, żem ustąpiła ich nadziei i mojej trosce. Dosyć już było, żem jechała sama zagranicę z dwojgiem dzieci, jednem już chorem, drugiem kipiącem zdrowiem i bujnością, bym miała brać jeszcze mękę serca i odpowiedzialność lekarza.

Ale Szopen był chwilowo w stanie zdrowia, który dawał otuchę wszystkim. Wyjąwszy Grzymałę, który się co do tego nie mylił zbytnio, wszyscy mieliśmy ufność. Prosiłam jednak Szopena, by dobrze zbadał swe siły moralne, nie podejmował on bowiem nigdy bez przerażenia, od kilku lat, myśli porzucenia Paryża, swego lekarza, swych stosunków, swego mieszkania nawet i swego fortepianu. Był to człowiek nawyknień przemocnych, i wszelka zmiana, chociażby najdrobniejsza, była wydarzeniem strasznem w jego życiu.

Pojechałam z dziećmi, powiadając mu, że spędzę kilka dni w Perpignan, jeżeli go tam nie zastanę; gdy nie przybędzie do pewnego określonego terminu, udam się do Hiszpanji. Wybrałam Majorkę na wiarę osób, które mniemały, że znają dobrze klimat i zasoby kraju, a które nie znały go wcale.

Mendizabal, nasz wspólny przyjaciel, człowiek zacny, równie jak sławny, miał udać się do Madrytu i towarzyszyć Szopenowi aż do granicy, w razie gdyby rojenie jego o podróży urzeczywistniło się.

Pojechałam tedy z dziećmi i pokojówką coś koło połowy października.

(*Pani Sand zatrzymuje się w Plessis, wita swą najbliższą rodzinę, przyjaciół i znajomych, potem zbacza z drogi, „voyageant pour voyager": zahacza o Lugdun, płynie w dół Rodanem aż do Avignonu, stąd jedzie pasem południowym Francji, bawi kilka dni w Nîmes, i stąd dociera do Perpignan. Nazajutrz przybywa tam Szopen. Jadą już dalej wprost do celu, t. j. na wyspę Majorkę, razem.)*

Zniósł on bardzo dobrze podróż. Nie cierpiał zbytnio od jazdy okrętem do Barcelony, ani z Barcelony aż do Palmy. Pogoda była spokojna, morze świetne; czuliśmy wzmagający się upał z godziny na godzinę. Maurycy znosił morze prawie tak dobrze, jak ja, Solange mniej dobrze, ale, na widok brzegów skalistych wyspy, w słońcu południa przybranych w koronkę z aloesów i palm, poczęła biegać po pokładzie, radosna i świeża, jak sam poranek dzienny.

Mało tu mam do powiedzenia o Majorce, napisawszy gruby tom z tej podróży. Opowiedziałam tam me trwogi w stosunku do chorego, któremu towarzyszyłam. Skoro nastała zima i oznajmiła się odrazu ulewnemi deszczami, Szopen, również raptownie, okazał wszystkie oznaki choroby płuc. Nie wiem, coby było ze mną, gdyby reumatyzmy na nowo zawładnęły Maurycym; nie mielibyśmy żadnego doktora, któryby nas natchnął ufnością, i najprostszych leków prawie nie można było dostać. Cukier nawet często był w złym gatunku i przyprawiał o chorobę.

Dzięki niebu, Maurycy, od rana do wieczora, wraz ze swą siostrą, stawiąc czoło deszczowi i wichrom, odzyskał całkowicie zdrowie. Ani Solange, ani ja nie obawiałyśmy się ulew i dróg, zalanych wodą. Znaleźliśmy w klasztorze opuszczonym i w części zrujnowanym mieszkanie zdrowe, i jedno z najbardziej malowniczych. W rannych godzinach uczyłam dzieci. Resztę dnia biegały, podczas gdy ja pracowałam; wieczorem biegaliśmy razem po klasztorze w świetle księżyca, albo czytywaliśmy w naszych celach. Życie nasze byłoby nader przyjemne w tej pustce romantycznej, pomimo dzikich obyczajów kraju i wstrętów, jakie nam czynili mieszkańcy, gdyby smutny widok cierpień naszego towarzysza i niektóre dni niepokoju poważnego o jego życie nie odejmowały mi gwałtem całej przyjemności i całego dobrodziejstwa podróży.

Biedny wielki artysta był chorym nieznośnym. To, czegom się obawiała niedość, niestety, nadeszło. Zdemoralizował się on w sposób zupełny. Znosząc cierpienie z dostateczną odwagą, nie mógł on pokonać niepokoju swej wyobraźni. Klasztor był dla niego pełen widm i przestrachów, nawet gdy czuł się dobrze. Nie mówił tego, i musiałam to odgadywać. Wracając z dziećmi z mych wypraw nocnych w ruinach, zastawałam go, o dziesiątej wieczorem, bladego przy pianinie, z oczyma błędnemi i włosami jakby powstałemi na głowie. Trzeba było kilku chwil, żeby nas poznał.

Robił potem wysiłek, żeby się śmiać, i grał nam swe wzniosłe rzeczy, które przez ten czas skompono-

wał, albo, lepiej rzec, pomysły straszne i rozdzierające, które opanowywały go, jakby bez jego wiedzy, w tej godzinie samotności, smutku i przerażenia.

Tam to skomponował on najpiękniejsze ze swych krótkich kart, które tytułował skromnie *preludjami*. Są to arcydzieła. Wiele z nich nastręcza myśli wizje zakonników zmarłych i głosy śpiewów pogrzebowych, które ich chowały do ziemi; inne są melancholijne i tkliwe; powstawały w chwilach słońca i zdrowia, z hałasu i śmiechu dzieci pod oknem, z dźwięku dalekiego gitar, ze śpiewu ptaków pod mokrem listowiem, z widoku różyczek bladych, rozkwitłych na śniegu.

Inne jeszcze mają smutek ponury i, czarując ucho, rozdzierają serce. Jest jedno, utworzone przez niego w wieczór dżdżysty i żałosny, które rzuca w duszę zgnębienie przerażające. Pozostawiliśmy go dnia tego w dobrem zdrowiu, Maurycy i ja, by udać się do Palmy po zakup przedmiotów niezbędnych dla naszego obozowiska. W drodze nastał deszcz, potoki wezbrały; zrobiliśmy trzy wiorsty w ciągu sześciu godzin, wracając pośród wylewu, i przybyliśmy późną nocą, bez trzewików, porzuceni przez naszego woźnicę, poprzez niesłychane niebezpieczeństwa. Śpieszyliśmy się, wiedząc, że nasz chory niepokoi się. Niepokój jego, istotnie, był żywy, ale zastygł jakgdyby w rodzaj rozpaczy spokojnej: grał on swe przedziwne preludjum, płacząc. Widząc, że wchodzimy, powstał, wyrzucając z piersi okrzyk, potem rzekł do nas z wyrazem błędnym i tonem dziwnym: „Ach! wiedziałem dobrze, żeście umarli!"

Gdy powrócił do przytomności, widząc, w jakim stanie znajdowaliśmy się, rozchorował się z rozpatrywania wstecz naszego niebezpieczeństwa; ale potem wyznał mi, że, czekając na nas, widział to wszystko we śnie, i że, nie odróżniając już snu od rzeczywistości, uspokoił się i jakgdyby zasnął, grając na pianinie, przekonany, że umarł już sam. Widział siebie utopionego w jeziorze; krople wody ciężkie i lodowate spadały mu miarowo na pierś, a kiedy zwróciłam jego uwagę na szelest tych kropel wody, które spadały rzeczywiście miarowo na dach, powiedział, że ich nie słyszał. Obraził się nawet, że biorę to za wyraz harmonji naśladowniczej. Powstawał, ze wszystkich sił i miał słuszność, na dziecinność tych naśladownictw dla ucha. Genjusz jego był pełen tajemniczych harmonij przyrody, przekładanych na równoznaczniki szczytne w jego myśli muzycznej, nie zaś na powtarzanie niewolnicze dźwięków zewnętrznych. Kompozycja jego z tego wieczoru była iście pełna kropel deszczowych, odbijających się echami od dźwięcznych dachówek klasztoru, ale przekładały się one w jego wyobraźni i w jego śpiewie na łzy, padające z nieba na jego serce.

Genjusz Szopena jest najgłębszem i najpełniejszem z uczuć i wzruszeń, jakie kiedy istniały. Jednemu tylko instrumentowi kazał on przemawiać językiem nieskończoności; potrafił on często, w dziesięciu linjach, jakie dziecko zagrać może, streszczać poematy o wzniosłości niezmiernej, dramaty o natężeniu niezrównanem. Nie potrzebował on nigdy wielkich środków, by oka-

zać swój genjusz. Nie potrzeba mu było ani saksofonów ani ofikleidów, by napełnić duszę grozą; ani organów kościelnych, ani głosu ludzkiego do napełnienia jej wiarą i zapałem. Nie był on poznany, i nie jest jeszcze poznany w pełni. Trzeba wielkich postępów w smaku i inteligencji sztuki, by dzieła jego stały się popularne. Nadejdzie czas, gdy muzykę jego będą orkiestrować, nic nie zmieniając w partycji fortepianowej, i gdy świat cały się dowie, że genjusz ten równie rozległy, równie całkowity, równie uczony, jak genjusz największych mistrzów, z którymi on siebie porównywał, zachował indywidualność wytworniejszą jeszcze od Sebastjana Bacha, jeszcze potężniejszą od Bethovenowskiej, jeszcze dramatyczniejszą od Weberowskiej. Jest on wszystkimi nimi trzema razem, i jest on jeszcze sobą, t. j. bardziej wytwornym w smaku, bardziej surowym w wielkości, bardziej rozdzierającym w boleści. Mozart jeden jest wyższy od niego, gdyż Mozart ma więcej od niego spokoju zdrowia, a przeto pełni życia.

Szopen czuł swą moc i swą słabość. Słabość jego tkwiła w nadmiarze nawet tej mocy, której nie umiał hamować. Nie mógł on, jak Mozart, (zresztą Mozart jeden potrafił to robić) stworzyć arcydzieła z zarysem płaskim. Muzyka jego była pełna odcieni i niespodzianek. Niekiedy, rzadko, była ona dziwaczna, tajemnicza i męcząca. Chociaż miał on odrazę do tego, co jest niezrozumiałe, wzruszenia jego nadmierne ponosiły go, bezwiednie, w okręgi, które on jeden znał tylko. Byłam, być może, złym sędzią dla niego,

(gdyż radził się mnie, jak Moljer swej służącej), starając się bowiem poznać go, doszłam do możności utożsamiania się ze wszystkiemi drgnieniami jego organizacji.

W ciągu ośmiu lat, wtajemniczając mię codziennie w tajemnicę jego natchnienia czy jego rozmyślania muzycznego, fortepian jego odsłaniał mi uniesienia, porażki, zwycięstwa i męki jego myśli. Rozumiałam go tedy tak, jak on sam siebie rozumiał, i sędzia bardziej mu obcy mógłby go zmusić, by był zrozumialszy dla wszystkich.

Miewał on niekiedy pomysły uśmiechnięte i całkiem proste w swej młodości. Tworzył niewydane pieśni polskie i romanse, tchnące czarującą pogodą i godną wielbienia słodyczą. Niektóre z tych utworów późniejszych są jeszcze, jak źródła kryształowe, w których odbija się światło słoneczne. Ale jakże są rzadkie i krótkie te ekstazy spokojne jego skupienia się. Śpiew skowronka na niebie i miękkie posuwanie się łabędzia po wodach nieruchomych są dla niego, jak błyskawice piękna w pogodę. Krzyk orła żałosny i zgłodniały na skałach Majorki, świst gorzki wichury północnej i udręka ponura sosen, pokrytych śniegiem, dłużej i ciężej zasmucały jego duszę, niż radowała ją woń drzew pomarańczowych, wdzięk winnic i piosenka rolnika, zabytek maurytańskich czasów.

Tak samo było z jego charakterem we wszystkiem. Wrażliwy przez chwilę na słodycze przywiązania i na uśmiechy losu, dniami całemi, tygodniami całemi urażał się niezręcznością kogoś obojętnego lub drobne-

mi przeciwnościami życia realnego. I, rzecz dziwna, ból prawdziwy nie łamał go tak, jak nieznaczny. Zdawało się, że nie miał siły do zrozumienia go uprzednio i do odczucia następnie. Głębokość tedy jego wzruszeń nie była zgoła w stosunku z ich przyczynami. Co do swego opłakanego zdrowia, bohatersko znosił je w prawdziwych niebezpieczeństwach, i męczył się niem nieszczęśnie w niedomaganiach nieznacznych. Jest to historja i los wszystkich istot, u których system nerwowy jest rozwinięty nadmiernie.

Z uczuciami przesadnemi drobiazgów, z obawą nędzy i potrzebami wyrafinowanego dobrobytu, zmierził on sobie, oczywiście, Majorkę po kilku dniach choroby. Nie było możności puszczenia się w drogę powrotną, był on nazbyt słaby. Gdy uczuł się lepiej, wichry przeciwne panowały na brzegu, i w ciągu trzech tygodni żaglowiec nie mógł wyjść z portu. Był to jedyny środek możliwy do przeprawy, a i tego nie było zgoła.

Pobyt nasz tedy w klasztorze Valdemosy był kaźnią dla niego i udręką dla mnie. Słodki, wesoły, czarujący w świecie, Szopen chory przyprawiał o rozpacz w bliższym, wyłącznym stosunku. Nie było duszy szlachetniejszej, delikatniejszej, bezinteresowniejszej, niż jego; nie było stosunku wierniejszego, prawszego, niż z nim; umysłu bardziej iskrzącego się w wesołości, inteligencji poważniejszej i zupełniejszej w tem, co było jego dziedziną; ale w odwecie, niestety! nie było humoru bardziej nierównego, wyobraźni bardziej podejrzliwej i szaleńczej, drażliwości niemożliwszej do

nieirytowania, wymagań serca niemożliwszych do spełnienia, niż jego. I nic z tego nie było jego winą właściwą. Było to winą jego nieszczęścia. Duch jego był obnażony dożywa; fałda na listku różanym, cień muchy przyprawiały go o krwawy ból. Z wyjątkiem mnie i mych dzieci, wszystko dla niego było antypatyczne i oburzające pod niebem Hiszpanji. Umierał z niecierpliwości odjazdu jeszcze bardziej, niż z niewygód pobytu.

Mogliśmy wreszcie udać się do Barcelony, a stamtąd, jeszcze morzem, do Marsylji, z końcem zimy. Opuszczałam klasztor kartuzów z uczuciami pomieszanemi: radości i bólu. Spędziłabym tam chętnie dwa, trzy lata sama z memi dziećmi. Mieliśmy pakę dobrych książek początkowych, które miałam czas wykładać im. Mieszkanie nasze romantyczne czarowało nas. Niebo stawało się wspaniałem i wyspa miejscem zachwycającem. Maurycy krzepł w oczach, i, co do nas, śmieliśmy się tylko z niewygód. Mogłabym po kilka dobrych godzin w dniu pracować bez przeszkody; czytałam piękne dzieła filozoficzne i historyczne, gdy nie byłam pielęgniarką chorego, i chory sam byłby nad wyraz dobry, gdyby ozdrowiał. Jakąż poezją muzyka jego napełniała tę świątynię, nawet pośród najboleśniejszych niepokojów! I klasztor kartuski był tak piękny pod girlandami bluszczu, pod kwieciem tak wspaniałem w dolinie, z powietrzem tak czystem na naszej górze, z morzem tak niebieskiem na horyzoncie! Jest to najpiękniejsze miejsce, jakie w życiu zamieszkiwałam, i jedno z najpiękniejszych, jakie widziałam w życiu. I ledwie go zasmakowałam! Nie śmiejąc porzucać cho-

rego, mogłam zaledwie na chwilę wychodzić codziennie z memi dziećmi, a często wcale nie wychodziłam. Byłam sama bardzo chora, ze zmęczenia i tego czuwania przy chorym.

W Marsylji trzeba się było zatrzymać. Oddałam Szopena do zbadania znakomitemu lekarzowi Cauvières'owi, który znalazł z początku stan jego bardzo poważnie nadwerężony, a który jednak nabrał otuchy, widząc, jak chory szybko się poprawia. Zapowiedział, że może żyć długo, czuwając nad sobą, i sam roztoczył nad nim opiekę. Godny ten i kochany człowiek, jeden z najpierwszych lekarzy francuskich, najmilszy, najpewniejszy, najbardziej oddany z przyjaciół, jest w Marsylji opatrznością szczęśliwych i nieszczęśliwych.

(*Dalej — zachwyty dla lekarza. Pani Sand zawsze czuła szczególną sympatję do lekarzy, leczących „jej" chorych. Rzeczą dziwną jest tylko, że znakomity ten lekarz, ulegając pasji żywotnej pani Sand, zamiast zarządzić całkowity spokój dla Szopena, który tak niedawno jeszcze pluł krwią „całemi miseczkami", zezwolił, dla jej przyjemności, na wyprawę z nim kilkodniową do Genui, jak to widzimy z dalszego wyciągu.*)

Widząc, że Szopen odradza się z wiosną i przystosowuje się do leku bardzo łagodnego, zatwierdził on nasz projekt pojechania na kilka dni do Genui. Była to przyjemność dla mnie zobaczyć znowu razem z Maurycym wszystkie te piękne budynki i wszystkie piękne obrazy, jakie posiada urocze to miasto.

Z powrotem mieliśmy na morzu nagłą, ostrą wichurę. Szopen był od tego dosyć chory i przez kilka dni odpoczęliśmy w Marsylji u zacnego doktora.

(*Dalej opis krótki Marsylji i już dzieje powrotu do Nohant, siedziby wiejskiej* (*w dep. Indre*) *pani Sand.*)

Przywiozłam do Nohant, bez przeszkód, Maurycego uleczonego i Szopena na uleczeniu. Po upływie kilku dni Maurycy zkolei był bardziej chory. Serce poczęło nazbyt mu urastać. Mój przyjaciel Papet, który jest wybornym lekarzem i który, z racji swego majątku, uprawia medycynę gratis dla swych przyjaciół i dla ubogich, polecił mu zmienić radykalnie sposób odżywiania się. Od dwóch lat trzymano go na mięsie białem i na wodzie zabarwionej winem czerwonem. Przyszedł on do wniosku, że raptowny wzrost serca wymaga środków tonicznych, i, puściwszy mu krew, wzmocnił go dietą zgoła przeciwną. Słusznie kazał mi mieć zaufanie do siebie, gdyż od tej pory Maurycy był radykalnie uleczony i zdrowie miał mocne i trwałe.

Co do Szopena, Papet nie znalazł w nim żadnego symptomatu choroby płucnej, lecz tylko małą chorobę chroniczną gardła, którą miał nadzieję wyleczyć, i skąd nie widział powodu do niepokojów poważnych.

(*Dalej, aż do końca rozdziału, dłuższa refleksja o wypadkach we Francji 12 maja 1839 i o osobie zaprzysiężonego członka Société des Saisons, Barbès'a, którego poświęceniem rewolucyjnem zachwy-*

ca się autorka, choć gani brak jego wiedzy i wytkniętego jasno celu. W następnym rozdziale, w poprzedzającym go spisie treści czytamy: „Charakter Szopena okazany". Przystępujemy do tego rozdziału, przytaczając głównie wszystko, co dotyczy Szopena, i pomijając resztę. Z początku mowa o kłopotach matki w stosunku do dzieci, potem o kłopocie przyjaciółki w stosunku do Szopena.)

W niezdecydowaniu, w jakiem byłam jakiś czas co do urządzenia mego życia tak, iżby było możliwie najlepiej dla moich drogich dzieci, walka poważna toczyła się w mem sumieniu. Pytałam siebie, czy mam się zgodzić na projekt, jaki Szopen powziął, ustalenia swego życia obok mego. Nie wahałabym się rzec: nie, gdybym mogła wiedzieć wówczas, jak na krótko życie samotne i uroki wsi odpowiadały jego zdrowiu moralnemu i fizycznemu. Przypisywałam jeszcze rozpacz jego i wstręt jego do Majorki podnieceniu gorączki i wyjątkowej cesze tej siedziby. Nohant przedstawiało warunki łagodniejsze, ustronie mniej surowe, otoczenie sympatyczne i pomoce w razie choroby. Papet był dla niego lekarzem światłym i serdecznym. Fleury, Duteil, Duvernet i ich rodziny, Planet, Rollinat zwłaszcza, byli mu drodzy od pierwszego wejrzenia. Wszyscy kochali go również i byli skłonni psuć go razem ze mną.

(Przyjazd brata pani Sand, Hipolita, i zamieszkanie jego w okolicy. Mowa o nim, potem o stosunku jego do Szopena.)

Jego układ, jego wesołość niewyczerpana, oryginalność jego wyskoków, wylewy jego entuzjastyczne i naiwne dla genjuszu Szopena, jego względy ciągle pełne szacunku dla niego samego, nawet w nieuchronnem i strasznem *après-boire,* znalazły łaskę u artysty wybitnie arystokratycznego. Wszystko szło tedy z początku bardzo dobrze, i podjęłam narazie myśl, że Szopen będzie mógł odpoczywać i naprawiać swe zdrowie w ciągu kilku letnich miesięcy w roku, nim praca konieczna nie odwoła go na zimę do Paryża.

Jednakże perspektywa tego rodzaju związku rodzinnego z przyjacielem nowym w mem życiu zastanowiła mnie. Przeraziło mnie zadanie, jakie podejmowałam, i jakie, według mego zdania, winno się było skończyć na podróży do Hiszpanji. Gdyby Maurycy zapadł znów w stan niemocy, który mnie pochłaniał, żegnajcie, to prawda, trudy lekcyj, ale żegnajcie również radości mej pracy; i jakież godziny mego życia pogodne i ożywcze mogłabym poświęcić drugiemu choremu, trudniejszemu do pielęgnowania i do radzenia, niż Maurycy?

Rodzaj tedy przerażenia zawładnął mem sercem wobec obowiązku nowego, jaki zaciągałam. Nie uwodziła mnie namiętność. Miałam dla artysty rodza uwielbienia macierzyńskiego — bardzo żywego, bardzo szczerego, ale które nie mogło ani przez chwilę walczyć z miłością łona macierzyńskiego, jedynem uczuciem czystem, jakie mogłoby być namiętnością.

Byłam jeszcze dosyć młoda, by być wystawioną, być może, na walkę z miłością, z namiętnością, właści-

wie zwaną. Ewentualność ta mego wieku, mego położenia i przeznaczenia kobiet-artystek, zwłaszcza gdy mają one odrazę do zabaw przelotnych, przerażała mnie wielce, i, postanowiwszy nigdy nie podlegać wpływowi, który mógłby mnie odciągnąć od mych dzieci, widziałam niebezpieczeństwo mniejsze, ale jeszcze możliwe, w czułej przyjaźni, jaką we mnie wzbudzał Szopen.

Otóż więc, po rozwadze, niebezpieczeństwo to zniknęło w mych oczach i przyjęło nawet charakter przeciwny, charakter, mianowicie, ochrony od wzruszeń, jakich nie chciałam już zaznawać. Jeden obowiązek więcej w mem życiu, już tak wypełnionem i kłopotami stłoczonem, zdawał mi się być koleją jedną więcej do surowości, ku której czułam się pociągana przez rodzaj zapału religijnego.

Gdybym uskuteczniła mój projekt zamknięcia się w Nohant przez cały rok, wyrzeczenia się sztuk i uczynienia się wychowawczynią mych dzieci, Szopen byłby ocalony od niebezpieczeństwa, jakie mu groziło, samo, bez mej wiedzy: od niebezpieczeńswa przywiązania się do mnie w sposób zbyt absolutny. Nie kochał on mnie jeszcze do tego stopnia, by nie mógł się oderwać ode mnie, przywiązanie jego nie było jeszcze wyłączne. Mówił mi on o miłości romantycznej, jaką miał w Polsce, o łagodnych pociągach, jakim ulegał następnie w Paryżu, i jakie mógł tam odnaleźć, a zwłaszcza o miłości do swej matki, która była jedyną namiętnością jego życia, a od której jednak zdala przyzwyczaił się żyć. Gdyby był zmuszony porzucić mnie dla swego zawodu, który był nawet punktem jego honoru,

gdyż żył on tylko ze swej pracy, sześć miesięcy paryskich oddałoby go, po kilku dniach niezdrowia i łez, nawyknieniom jego elegancji, powodzeń wykwintnych i zalotności umysłowej. Nie mogłam wątpić o tem, i nie wątpiłam o tem.

Ale przeznaczenie pchało nas w więzy długiego stosunku, i weszliśmy w nie oboje, nie postrzegłszy się.

Zmuszona wyrzec się mego zamiaru profesorstwa, zdecydowałam się złożyć je w najlepsze ręce, i w tym celu zamieszkać na rok w Paryżu. Najęłam, przy ulicy Pigalle, apartament, złożony z dwóch pawilonów w głębi ogrodu. Szopen zamieszkał na ulicy Tronchet; ale jego mieszkanie było wilgotne i zimne. Począł on kaszlać poważnie i ujrzałam się zmuszoną lub zwolnić się z mego pielęgniarstwa, lub spędzać życie na niemożliwem chodzeniu tam i zpowrotem. On sam, by oszczędzić mi tego chodzenia, przychodził każdodziennie powiadać mi z miną rozbitą i głosem zgaszonym, że ma się wybornie. Prosił, by go stołować, i wracał wieczorem, dygocąc w swym fiakrze. Widząc, jak się przejmował zamieszaniem naszego życia rodzinnego, ofiarowałam się wynająć jeden z pawilonów, z którego część mogłam mu odstąpić. Przyjął to z radością. Miał tam swój apartament, przyjmował tam swych przyjaciół i dawał lekcje, nie krępując mnie. Maurycy miał mieszkanie nad jego pokojami; ja zajmowałam drugi pawilon wraz z córką. Ogród był ładny i dosyć rozległy, by pozwolić na wielkie gry i piękne wesołości. Mieliśmy profesorów

obojga płci, którzy robili, co mogli. Widywałam jak najmniej ludzi, utrzymując stosunki tylko z przyjaciółmi.

(Mówi o towarzystwie młodocianem swych dzieci. Przebyli tak rok. Po roku niesforną córkę oddaje do wykwintnego internatu wychowawczego, potulny Maurycy zostaje przy matce.)

Zdecydowawszy się znowu rozłączyć z córką (z większym wysiłkiem i żalem, niż to jej chciałam okazać), mieszkałam na zmianę: w Nohant latem i w Paryżu zimą, nie rozstając się z Maurycym, który umiał zawsze i wszędy zająć się czemś. Szopen spędzał trzy lub cztery miesiące corocznie w Nohant. Przedłużałam mój pobyt, aż zarywając zimy, i zastawałam w Paryżu mego zwykłego chorego (*mon malade ordinaire*), jak się tytułował, pragnącego mego powrotu, lecz nie żałującego wsi, której nie lubił ponad dwa tygodnie i na której dłuższy pobyt znosił tylko z przywiązania do mnie. Opuściliśmy pawilony przy ulicy Pigalle, gdyż nie podobały mu się, i zamieszkaliśmy na skwerze Orleańskim, gdzie poczciwa i ruchliwa Marliani urządziła nam życie rodzinne. Ona zajmowała piękny apartament pomiędzy naszemi dwoma. Mieliśmy wspólny wielki podwórzec, zadrzewiony i wysypany piaskiem, zawsze czysty, przez który dość było przejść, by zgromadzać się, bądź u niej, bądź u mnie, bądź u Szopena, gdy miał ochotę grać nam. Obiadowaliśmy wszyscy razem u niej na koszt wspólny. Było to zrzeszenie bardzo dobre, ekonomiczne, jak wszystkie zrzeszenia, a które pozwalało mi widywać ludzi u pani Marliani, przyjaciół mych poufniej u siebie, i oddawać się pracy w godzinie, w której mi wypadało usuwać się. Szopen cieszył się również, że miał piękny salon odosobniony, gdzie mógł pójść sobie komponować lub marzyć. Ale lubił on ludzi i korzystał tylko ze swej świątyni, by udzielać w niej lekcyj. W Nohant tylko tworzył i pisał. Maurycy miał swój apartament i swoją pracownię nade mną. Solange miała koło mnie piękny pokoik, w którym lubiła „robić damę“ z siebie wobec Augustyny w dni, kiedy przychodziła, i skąd przepędzała władnie brata swego i Oskara, utrzymując, że chłopcy mają złe maniery i pachną cygarami; co nie przeszkadzało jej w chwilę potem wspinać się po schodach do pracowni, by ich złościć tak, że spędzali czas na wypraszaniu siebie obraźliwem ze swych mieszkań i na powracaniu, by walić w drzwi odnowa.

(*Dalej wspomnienia o wybitnych osobach, z któremi pani Sand bliżej żyła i które ją w tych czasach odwiedzały. A więc: Ludwik Blanc, Godfryd Cavaignac, Henri Martin i „najpiękniejszy genjusz kobiecy naszej epoki, złączony z sercem zacnem, Paulina Garcia, córka genjalnego artysty, siostra pani Malibran, żona przyjaciela mego, Ludwika Viardot, skromnego uczonego, człowieka ze smakiem artystycznym, a przedewszystkiem dobrego“. Dalej: Mickiewicz, którego autorka określa, jako „genjusza, równego Byronowi, duszę, sprowadzoną do zawrotów ekstazy przez zapał dla ojczyzny i świętość obyczajów“; Lablache „największy aktor komiczny i najdoskonalszy śpiewak naszej epoki“; Solive, uta-*

lentowany kompozytor liryczny; Alcan, słynny pianista; Edgar Quinet, „wielkie serce w rozległej inteligencji"; jenerał Pepe; Mazzini; Bocage, Perdiguier, artyści; Ferdynand François; Gillard; Stefan Arago; de Bonnechose; de Rancogne; Mendizabal; Dessauer; Hetzel; doktór Varrennes; kapitan d'Arpertigny; pani Hortensja Allart, „pisarka o uczuciu bardzo podniosłem i formie bardzo poetycznej, kobieta uczona, cała piękna i cała różana" i inni.

Tu następuje parę stronic, na których pani Sand obnaża jakgdyby głębiej swą duszę. Przytaczam je w całości, jako charakterystyczne dla tych czasów i dla stosunku autorki do Szopena, uprzedzając jednak czytelnika, iż należy brać je, jak i wszystko z Historji jej życia, z wielką rezerwą, jako tylko zwierzchnią zasłonę, ukazującą zgruba zarys tego życia i dziejów tej duszy. Historja ta była pisana dla opinji ludzi, znajomych jej i jej dzieci; musiała więc przybrać tę pozę niewinności i ofiary, którą usprawiedliwia może sumienie literackie, ale której nie usprawiedliwia, w tem przemilczaniu głównych sprężyn i aktów jej duszy, sumienie prawdy i rzeczywistości.)

Życie, które tu opisuję, było, wedle możności, składne powierzchownie. Szczęściło mi się co do mych dzieci, co do mych przyjaciół, co do mej pracy; ale życie, którego nie opowiadam, było osłonione straszną goryczą.

Pomnę, dnia pewnego, oburzona niesprawiedliwościami bez miana, jakie w mojem życiu poufnem spadły na mnie raptownie z kilku stron naraz, poszłam płakać do lasku w moim ogrodzie w Nohant, w miejscu, gdzie niegdyś moja matka robiła dla mnie i ze mną piękne małe groty skaliste. Miałam wówczas około czterdziestu lat i, chociaż cierpiąca na straszne newralgje, czułam się fizycznie daleko silniejsza, niż w młodości. Przyszła mi fantazja, nie wiem — pośród jakich myśli czarnych, podnieść wielki kamień, jeden z tych może, które widziałam niegdyś dźwigane przez mą silną mateczkę. Uniosłam go bez trudu i upuściłam z rozpaczą, powiadając sobie: „Ach, mój Boże! Mam może jeszcze żyć czterdzieści lat!"

Wstręt do życia, pragnienie spoczynku, jakie oddawna odpychałam, powróciły mi tym razem w sposób straszny. Usiadłam na tym kamieniu i wyczerpałam mój ból w potoku łez. Ale tam oto nastąpił we mnie wielki przewrót: za dwiema temi godzinami nicestwa przyszły dwie czy trzy godziny rozmyślania i pogodzenia się, których pamięć pozostała we mnie wyraźna, jako rzecz stanowcza w mem życiu.

Rezygnacja nie leży w mej naturze. Ma ona smutek ponury, zmieszany z nadzieją daleką; są to uczucia, których nie znam. Widziałam to usposobienie u innych, i nigdy go nie pochwalałam. Widocznie organizacja moja nie ima się tego. Muszę dojść do absolutnej rozpaczy, by mieć odwagę. Muszę dojść aż do powiedzenia sobie: „wszystko straconel", by się zdecydować na przyjęcie wszystkiego. Przyznaję się nawet, że wyraz ten: rezygnacja, gniewa mnie. W pojęciu, jakie sobie o niej wytworzyłam, słusznie czy błęd-

nie, jest to lenistwo głupie, poddające się nieubłaganej logice nieszczęścia; jest to wygoda miękka duszy, pchająca nas do zbawiania się egoistycznie, do podstawiania karku twardego pod razy przeciwności, do stawania się biernymi, bez wstrętu do zła, jakiemu podlegamy, bez litości przeto dla tych, którzy nas rażą. Widzi mi się, że ludzie całkowicie zrezygnowani są pełni odrazy i pogardy dla rodzaju ludzkiego, powiadają oni sobie, że wszystko jest głazem, oni jedni tylko są dziećmi bożemi.

Inne rozwiązanie stawało przede mną. Znosić wszystko bez nienawiści i bez odczuwania, ale wszystko zwalczać przez wiarę; żadnej ambicji, żadnego rojenia o szczęściu osobistem dla siebie na tym świecie, ale wiele nadziei i wysiłku dla szczęścia innych.

To zdawało mi się być wnioskiem naczelnym logiki, zastosowanej do mojej natury. Mogłam żyć bez szczęścia osobistego, nie mając namiętności osobistych.

Ale miałam w sobie zasób czułości i potrzebę, nakazującą uprawę tego instynktu. Potrzeba mi było miłować lub umrzeć. Miłować, będąc samej mało lub źle miłowaną, jest to być nieszczęśliwą; ale można żyć, będąc nieszczęśliwą. Niedola w życiu — to nieczynienie użytku właściwego z życia, albo czynienie z niego użytku, sprzecznego z warunkami własnego życia.

Wobec tego postanowienia zapytałam się, czy będę miała siły iść za niem; nie miałam zbyt wysokiego mniemania o sobie, by wznieść się do rojenia o cnocie. Zresztą, proszę państwa, w czasach sceptycyzmu, w jakich żyjemy, wielkie światło wynurzyło się; to właśnie, że cnota nie jest niczem innem, jak samem światłem, stającem się w duszy. Ja dodaję do tego, w mem wierzeniu, pomoc bożą. Ale czy przyjmować, czy odrzucać pomoc bożą, rozum nam okazuje, że cnota jest świetnym wynikiem zjawienia się prawdy w sumieniu, pewności przeto, która rozkazuje sercu i woli.

Usuwając z mego słownika wewnętrznego to słowo pyszne: cnota, które zdawało mi się być nazbyt z antyczna udrapowane, i poprzestając na postrzeganiu światła w sobie, mogłam sobie, mniemam, powiedzieć dosyć mądrze, że nie wraca się śladem pewnej prawdy zdobytej, i że, aby trwać i urzeczywistniać tę prawdę, chodzi tylko o pilnowanie się każdorazowe, gdy egoizm stara się zdmuchnąć kaganiec.

Żem musiała być niepokojona, mącona i szarpana przez tę głupią osobowość ludzką, to nie ulegało wątpliwości, dusza bowiem niezawsze czuwa; usypia ona i roi; ale że, poznawszy rzeczywistość, t. j. niemożliwość osiągnięcia szczęścia przez egoizm, nie miałam mocy wstrząsnąć i zbudzić mej duszy, to zdaje mi się zarówno nie ulegać wątpliwości.

Obliczywszy w ten sposób me szanse, z wielkim zapałem religijnym i prawdziwym pędem serca ku Bogu, uczułam się bardzo spokojną, i zachowałam ten spokój wewnętrzny przez całą resztę życia; zachowałam go nie bez zachwiań, przerw i spadków; równowaga moja fizyczna wyłamywała się niekiedy z rygorów mej woli; ale odnajdowałam ją zawsze bez niepew-

ności i bez sporu w głębi mej myśli i w nawyknieniach mego życia.

Odnalazłam ją zwłaszcza przez modlitwę. Nie nazywam modlitwą wyboru i uszykowywania myśli kierowanych do nieba, ale rozmowę myśli z ideałem światła i doskonałości nieskończonych.

Ze wszystkich goryczy, jakie miałam, już nie do zniesienia, lecz do zwalczania, cierpienia mego zwykłego chorego (*malade ordinaire*) nie były najmniejszą.

Szopen rwał się zawsze do Nohant i nie znosił nigdy Nohant. Był on światowcem przedewszystkiem, nie świata zbyt oficjalnego i zbyt licznego, lecz świata poufnego, salonów z dwudziestu osób, godziny, kiedy tłum odchodzi sobie i kiedy zżyci z nim ludzie cisną się dookoła artysty, by wymóc na nim przez miłe natręctwa najczystsze z jego natchnień. Wówczas to tylko dawał on cały swój genjusz i cały talent. Wówczas to również, pogrążywszy swe audytorjum w skupienie głębokie, albo w smutek bolesny, gdyż muzyka jego wrażała ci nieraz w duszę straszne zniechęcenia, zwłaszcza kiedy improwizował, naraz, jakgdyby dla zatarcia wrażenia i pamięci swego bólu, dla innych i dla siebie, zwracał się do zwierciadła, chyłkiem, układał swe włosy i krawat, i ukazywał się raptownie przemieniony w Anglika flegmatycznego, w starca-zrzędę, w Anglika sentymentalnego i śmiesznego, w Żyda niechlujnego. Były to zawsze typy smutne, pomimo swego komizmu, ale doskonale pojęte i tak subtelnie oddane, że nie nużyłeś się, podziwiając je.

Wszystkie te rzeczy wzniosłe, czarujące lub dziwaczne, jakie umiał wydobywać z siebie, czyniły z niego duszę towarzystw wyborowych, i wyrywano go też sobie dosłownie; szlachetny jego charakter, jego bezinteresowność, jego duma, jego pycha dobrze zrozumiana, obca wszelkiej próżności w złym guście i wszelkiej czelnej reklamie, pewność jego rozmowy i wykwint jego dobrego wychowania czyniły z niego przyjaciela równie poważnego, jak i miłego.

Oderwać Szopena od tylu rozrywek, wzwyczaić go do życia prostego, jednostajnego i tylko pracowitego, jego, który był wychowany na kolanach księżniczek, było to pozbawiać go tego, co było jego życiem, życia sztucznego, to prawda, albowiem, jak kobieta urożowana, składał on wieczorem, wracając do siebie, swą werwę i swą moc, by spędzać noc w gorączce i w bezsenności; ale życia, które było krótsze i bardziej ożywione, niż życie ustronia i zażyłości ciasnej w kole jednostajnem jednej rodziny. W Paryżu, odwiedzał on po kilka rodzin codziennie, lub wybierał co najmniej każdego wieczoru inną za środowisko. Miał w ten sposób kolejno dwadzieścia czy trzydzieści salonów do upajania i czarowania swą obecnością.

Szopen nie był zrodzony do uczuć wyłącznych; był on wyłączny tylko w stosunku do tych uczuć, których wymagał. Dusza jego, wrażliwa na wszelkie piękno, na wszelki wdzięk, na wszelki uśmiech, oddawała się z łatwością i samorzutnością niesłychaną. Prawda, że się cofała również w rozczarowaniu nadmiernem od słowa czyjegoś niezręcznego, od uśmiechu

dwuznacznego. Potrafił on kochać namiętnie trzy kobiety na jednym i tym samym wieczorze balowym, i wychodził z niego sam, nie myśląc o żadnej z nich, podczas gdy wszystkie trzy były przekonane, że go oczarowały wyłącznie.

Było tak samo z przyjaźnią; zapalał się na pierwsze wejrzenie, obrzydzał sobie, urażał się ciągle, żył uniesieniami, pełnemi czaru, dla tych, którzy byli ich przedmiotem, i niezadowoleniami tajemnemi, które zatruwały najdroższe jego uczucia.

Jeden fakt, jaki mi sam opowiadał, dowodzi, jak mało to, co on dawał ze swego serca, odpowiadało temu, czego wymagał od innych.

Zajął się on żywo wnuczką pewnego znakomitego mistrza. Zamierzał prosić ją o rękę, jednocześnie gdy nosił w myśli inne małżeństwo z miłości w Polsce; lojalność jego nie brała w tem zgoła udziału, tylko dusza bujała z jednego uczucia na drugie. Młoda paryżanka okazywała mu względy, wszystko szło jak najlepiej, gdy pewnego dnia przyszedł on do niej z innym muzykiem, sławniejszym w Paryżu, niż on był wówczas. Panna grzecznie wskazała krzesło temu muzykowi pierwej, niż to uczyniła względem Szopena. Nie zobaczył już jej nigdy i zapomniał natychmiast.

To wszystko, nie — iżby dusza jego była niemocna i zimna. Gdzie zaś! Była ona płomienna i oddana, ale nie wyłącznie i ciągle dla tej czy innej osoby. Oddawała się ona na zmiany pięciu czy sześciu uczuciom, które się zwalczały w nim i z których jedno kolejno panowało nad innemi.

Typ ten krańcowy artysty nie był zapewne stworzony, by długo żyć na tym świecie. Strawiało go ciągłe marzenie ideału, którego nie zwalczała żadna wyrozumiałość filozofji czy miłosierdzia na miarę tego świata. Nie chciał on nigdy wchodzić w układy z naturą ludzką. Nie przyjmował nic z rzeczywistości. W tem była jego wada i jego cnota, jego wielkość i jego nieszczęście. Nieubłagany dla najmniejszej plamy, entuzjazmował się ogromnie dla najmniejszego światła, i wyobraźnia jego wzniecona czyniła wszystkie nakłady, by widzieć w niem słońce.

Było tedy rzeczą zarazem słodką i okrutną być przedmiotem jego wyróżnienia, gdyż płacił on ci z lichwą za najmniejszy przebłysk jasny i zgnębiał cię swym chłodem wobec najdrobniejszego cienia.

Przypuszczano, że, w jednej z moich powieści, odmalowałam jego charakter z wielką ścisłością analizy. Omylono się, gdyż mniemano, że niektóre rysy jego charakteru poznaje się tam wyraźnie, i, idąc tą drogą, zbyt wygodną, by była pewną, sam Liszt, w *Życiu Szopena*, zbyt bujnem co do stylu, ale pełnem jednak bardzo dobrych uwag i pięknych stronic, zabłądził z dobrą wiarą.

Skreśliłam w *Księciu Karolu* charakter człowieka ustalonego w swej naturze, wyłącznego w swych uczuciach, wyłącznego w swych wymaganiach.

Takim nie był Szopen. Przyroda nie maluje, jak sztuka, chociażby ta się czyniła najbardziej realistyczną. Przyroda ma kaprysy, niekonsekwencje, nie rzeczy-

wiste prawdopodobnie, lecz bardzo tajemnicze. Sztuka prostuje te niekonsekwencje dlatego tylko, że jest nazbyt ograniczona, żeby je oddać.

Szopen był streszczeniem tych niekonsekwencyj wspaniałych, jakie Bóg jeden może pozwolić sobie stworzyć i jakie mają swą logikę szczególną. Był on skromny z zasad i łagodny z obyczaju, ale był rozkazujący z instynktu i pełen dumy prawowitej, która sama siebie nie znała. Stąd cierpienia, których nie hamował i które nie zatrzymywały się długo na przedmiocie określonym.

Zresztą Książę Karol nie jest artystą. Jest on marzycielem, i niczem więcej; nie mając genjuszu, nie ma on prawa do genjuszu. Jest to tedy osobistość raczej prawdziwa, niż luba, i jest ona tak mało portretem wielkiego artysty, że Szopen, czytając każdodziennie rękopis, leżący na mojem biurku, nie powziął najmniejszej chętki mylenia się w tem, — on, tak podejrzliwy jednakże!

A jednak później, z podszeptu innych ludzi, wyroił to sobie, jak mi powiadano. Wrogowie (byli przy nim tacy, którzy mianowali się jego przyjaciółmi, jakgdyby jątrzyć serce cierpiące nie było mordem), wrogowie kazali mu wierzyć, że powieść ta jest odsłonieniem jego charakteru. Niewątpliwie, w takiej chwili, pamięć jego zamgliła się: zapomniał o książce, dlaczegoż jej nie odczytał na nowo!

Historja ta była tak mało nasza! Była ona czemś wręcz przeciwnem. Nie było między nami ani tych samych upojeń, ani tych samych cierpień. Dzieje nasze właściwe nie miały nic z powieści; grunt ich był nazbyt prosty i nazbyt poważny, byśmy kiedy mieli sposobność do kłótni jedno z drugiem, jedno z powodu drugiego. Brałam całe życie Szopena tak, jak ono się toczyło poza mojem. Nie mając ani jego gustów, ani jego pojęć poza sztuką, ani jego zasad politycznych, ani jego oceny rzeczy faktycznych, nie podejrzewałam żadnej odmiany jego bytu. Szanowałam jego indywidualność tak, jak szanowałam indywidualność Delacroix'a i innych mych przyjaciół, wdrożonych w inną kolej, niż moja.

Z drugiej strony Szopen darzył mnie i, mogę rzec, zaszczycił mnie rodzajem przyjaźni, która była wyjątkową w jego życiu. Był zawsze ten sam dla mnie. Miał on, niewątpliwie mało złudzeń co do mnie, gdyż nigdy nie obniżył mnie w swym szacunku. I to właśnie powodowało ciągłość tak długą naszej dobrej harmonji.

Obcy mym studjom, mym dociekaniom, a przeto mym przekonaniom, zamknięty cały w dogmacie katolickim, mówił on o mnie, jak matka Alicja w ostatnich dniach swego życia: *„Bah! bah! je suis bien sûre, qu'elle aime Dieu!"* (*„Ba! ba! jestem pewna, że ona kocha Pana Boga!"*)

Nie robiliśmy więc sobie nigdy wzajemnie wyrzutów, chyba raz jeden tylko, niestety! pierwszy i ostatni. Przywiązanie tak wielkie musiało się złamać, nie zaś zużywać w walkach, niegodnych siebie.

Ale jeżeli Szopen był dla mnie w swej osobie oddany, wyróżniający, pełen wdzięku, zobowiązania

i względów, nie wyzbył się on, dlatego, kaprysów swego charakteru względem tych, którzy go otaczali. Z nimi nierówność jego duszy, kolejno wzniosła i fantastyczna, dawała sobie bieg, przechodząc ciągle od adoracji do odrazy, i odwrotnie. Nic nie okazywało, nic nie okazało nigdy jego życia wewnętrznego, którego arcydzieła jego sztuki były wyrazem zewnętrznym tajemniczym i luźnym, ale którego cierpienia nie zdradzały nigdy usta. Taka przynajmniej była powściągliwość jego w ciągu siedmiu lat, że ja jedna tylko mogłam odgadywać je, osładzać je i opóźniać ich wybuch.

Dlaczego splot wydarzeń poza nami nie oddalił nas jedno od drugiego przed ósmym rokiem!

Moje przywiązanie mogło dlatego tylko sprawić cud uczynienia go szczęśliwym i spokojniejszym, że Pan Bóg zgodził się na to, zachowując mu trochę zdrowia. Słabł on jednak w oczach, i nie wiedziałam, jakich środków użyć, by zwalczyć wzrastające rozdrażnienie jego nerwów. Śmierć przyjaciela jego, Matuszyńskiego, i następnie śmierć własnego jego ojca zadały mu dwa ciosy straszne. Dogmat katolicki rzuca na śmierć cień groźny. Szopen, zamiast roić dla dusz tych czystych świat lepszy, miał tylko widzenia przerażające, i byłam zmuszona spędzić wiele nocy w pokoju sąsiadującym z jego pokojem, zawsze gotowa do powstania sto razy od mej pracy, by odpędzać widma jego snu i jego bezsenności. Myśl własnej jego śmierci okazywała mu się zawsze w eskorcie wszystkich wyobrażeń przesądnych poezji słowiańskiej. Będąc Polakiem, żył on w koszmarach legend. Widma wzywały go, oplątywały, i, zamiast widzieć swego ojca i swego przyjaciela uśmiechających się w promieniu wiary, odpychał on ich twarze, odarte z ciała, od swojej i szamotał się z ich lodowatemi rękoma.

Nohant stało się antypatycznem dla niego. Powrót, na wiosnę, upajał go jeszcze na chwilę. Ale kiedy się zabierał do pracy, wszystko się zaćmiewało dokoła niego. Twórczość jego była samorzutna, cudowna. Znajdował on ją, nie szukając, nie przewidując jej. Spływała ona na jego fortepian raptownie, całkowita, szczytna, lub śpiewała mu się sama w głowie podczas przechadzki, i śpieszno mu było samemu usłyszeć ją, rzucając ją na instrument. Ale wówczas poczynał się trud najbardziej rozdzierający serce, jakiego kiedy byłam świadkiem. Był to szereg wysiłków, niezdecydowań i niecierpliwości, by pochwycić na nowo pewne szczegóły tematu, jakie zasłyszał wewnętrznie; to, co począł w jednej bryle, analizował nazbyt, chcąc to zapisać, i żal jego, że nie znajduje, jak mniemał, właściwego wyrazu, wtrącał go w rodzaj rozpaczy. Zamykał się całemi dniami w swym pokoju, płacząc, chodząc, łamiąc pióra, powtarzając i zmieniając sto razy takt, pisząc i zmazując tyleż razy, i poczynając nazajutrz z wytrwałością drobiazgową i rozpaczną. Spędzał sześć tygodni nad jedną stronicą, by ostatecznie napisać ją tak, jak mu się wykluła za pierwszym razem.

Miałam długi czas wpływ na to, by się godził na powierzanie się pierwszemu odruchowi natchnienia.

i względów, nie wyzbył się on, dlatego, kaprysów swego charakteru względem tych, którzy go otaczali. Z nimi nierówność jego duszy, kolejno wzniosła i fantastyczna, dawała sobie bieg, przechodząc ciągle od adoracji do odrazy, i odwrotnie. Nic nie okazywało, nic nie okazało nigdy jego życia wewnętrznego, którego arcydzieła jego sztuki były wyrazem zewnętrznym tajemniczym i luźnym, ale którego cierpienia nie zdradzały nigdy usta. Taka przynajmniej była powściągliwość jego w ciągu siedmiu lat, że ja jedna tylko mogłam odgadywać je, osładzać je i opóźniać ich wybuch.

Dlaczego splot wydarzeń poza nami nie oddalił nas jedno od drugiego przed ósmym rokiem!

Moje przywiązanie mogło dlatego tylko sprawić cud uczynienia go szczęśliwym i spokojniejszym, że Pan Bóg zgodził się na to, zachowując mu trochę zdrowia. Słabł on jednak w oczach, i nie wiedziałam, jakich środków użyć, by zwalczyć wzrastające rozdrażnienie jego nerwów. Śmierć przyjaciela jego, Matuszyńskiego, i następnie śmierć własnego jego ojca zadały mu dwa ciosy straszne. Dogmat katolicki rzuca na śmierć cień groźny. Szopen, zamiast roić dla dusz tych czystych świat lepszy, miał tylko widzenia przerażające, i byłam zmuszona spędzić wiele nocy w pokoju sąsiadującym z jego pokojem, zawsze gotowa do powstania sto razy od mej pracy, by odpędzać widma jego snu i jego bezsenności. Myśl własnej jego śmierci okazywała mu się zawsze w eskorcie wszystkich wyobrażeń przesądnych poezji słowiańskiej. Będąc Polakiem, żył on w koszmarach legend. Widma wzywały go, oplątywały, i, zamiast widzieć swego ojca i swego przyjaciela uśmiechających się w promieniu wiary, odpychał on ich twarze, odarte z ciała, od swojej i szamotał się z ich lodowatemi rękoma.

Nohant stało się antypatycznem dla niego. Powrót, na wiosnę, upajał go jeszcze na chwilę. Ale kiedy się zabierał do pracy, wszystko się zaćmiewało dokoła niego. Twórczość jego była samorzutna, cudowna. Znajdował on ją, nie szukając, nie przewidując jej. Spływała ona na jego fortepian raptownie, całkowita, szczytna, lub śpiewała mu się sama w głowie podczas przechadzki, i śpieszno mu było samemu usłyszeć ją, rzucając ją na instrument. Ale wówczas poczynał się trud najbardziej rozdzierający serce, jakiego kiedy byłam świadkiem. Był to szereg wysiłków, niezdecydowań i niecierpliwości, by pochwycić na nowo pewne szczegóły tematu, jakie zasłyszał wewnętrznie; to, co począł w jednej bryle, analizował nazbyt, chcąc to zapisać, i żal jego, że nie znajduje, jak mniemał, właściwego wyrazu, wtrącał go w rodzaj rozpaczy. Zamykał się całemi dniami w swym pokoju, płacząc, chodząc, łamiąc pióra, powtarzając i zmieniając sto razy takt, pisząc i zmazując tyleż razy, i poczynając nazajutrz z wytrwałością drobiazgową i rozpaczną. Spędzał sześć tygodni nad jedną stronicą, by ostatecznie napisać ją tak, jak mu się wykluła za pierwszym razem.

Miałam długi czas wpływ na to, by się godził na powierzanie się pierwszemu odruchowi natchnienia.

Ale kiedy nie był już skłonny wierzyć mi, wyrzucał mi łagodnie, że go psuję i nie jestem dosyć surową dla niego. Starałam się go rozerwać, wyciągać go na przechadzki. Niekiedy, zabierając całe moje grono do dużego breka z ławkami, wyrywałam go pomimo jego woli z tej agonji; wiozłam nad brzegi Creuze'y i, przez dwa lub trzy dni, zgubieni w słońcu i w deszczu na drogach straszliwych, przybywaliśmy, śmiejący się i zgłodniali, do jakiejś miejscowości wspaniałej, gdzie zdawał się odradzać. Zmęczenia te podcinały go pierwszego dnia, ale spał! Ostatniego dnia, był już cały ożywiony, odmłodzony; wracając do Nohant, znajdował rozwiązanie do swej pracy bez wielkiego wysiłku. Ale niezawsze można było skłonić go do porzucenia tego pianina, które było częściej jego męką, niż radością, i powoli począł okazywać niezadowolenie, kiedy mu przeszkadzałam. Nie śmiałam nalegać. Szopen, kiedy się gniewał, był straszny, a ponieważ ze mną powściągał się zawsze, zdawało się wtedy prawie, że dusi się z braku tchu i kona.

Życie moje, zawsze czynne i zawsze śmiejące się nazewnątrz, stało się wewnętrznie bolesne, jak nigdy. Rozpaczałam nad tem, że nie mogę dać innym tego szczęścia, którego wyrzekłam się w stosunku do siebie; miałam bowiem niejeden powód do zmartwienia, przeciw czemu starałam się reagować. Przyjaźń Szopena nie była nigdy dla mnie ucieczką w mym smutku. Miał on dosyć własnych swych nieszczęść do znoszenia. Moje byłyby go zmiażdżyły, to też wiedział

on o nich tylko zluźna i nie rozumiał ich zgoła. Oceniał wszystko z punktu widzenia bardzo odmiennego od mojego. Prawdziwą mą siłę czerpałam z syna, który był już w takim wieku, że mógł podzielać ze mną sprawy najpoważniejsze życia, i który podtrzymywał mnie swą równością charakteru, rozumem swym bystrym nad wiek i niezmiennym swym dobrym humorem. Nie mieliśmy, on i ja, jednakowych poglądów na wszystko, ale mieliśmy wspólnie wiele podobieństw organizacji, wiele tych samych gustów i tych samych potrzeb; prócz tego, więź przywiązania naturalnego tak ścisłą, że niezgoda jakowaś między nami nie mogła trwać dłużej nad dzień i ostać się w chwili wyjaśnienia w cztery oczy. Jeżeliśmy nie żyli w tym samym obwodzie pojęć i uczuć, była, przynajmniej, wielka brama zawsze otwarta w murze środkowym, brama przywiązania ogromnego i ufności absolutnej.

W następstwie ostatnich recydyw chorego, umysł jego zaćmił się bardzo, i Maurycy, który go dotychczas kochał bardzo czule, naraz został dotknięty przez niego w sposób niespodziewany z powodu rzeczy błahej. Ucałowali się w chwilę potem, ale ziarno piasku upadło do spokojnego jeziora, i powoli kamienie poczęły tam spadać jeden po drugim. Szopen był często podniecony bez żadnej przyczyny, a niekiedy podniecony niesprawiedliwie — na najlepsze intencje. Ujrzałam, że zło się powiększa i rozciąga się na inne dzieci w mym domu. Rzadko na Solange, którą Szopen przekładał nad inne, z racji, że ona jedna nie psuła go, ale na Augustynę z goryczą przerażającą i na Lamber-

ta *) nawet, który nie mógł nigdy domyślić się powodu. Augustyna, najłagodniejsza, najmniej obraźliwa z nas wszystkich, na pewno, była tem zbita z tropu. Był on zrazu taki dobry dla niej! Wszystko to zniosły one; ale wreszcie, pewnego dnia, Maurycy, kłuty docinkami, rzekł, że ma dosyć tego. Nie mogło to być i być to nie powinno. Szopen nie zniósł mego wdania się w sprawę słusznego i koniecznego. Spuścił głowę i wyrzekł, że nie kocham go już.

Jakież bluźnierstwo po ośmiu latach poświęcenia macierzyńskiego! Ale biedne serce zmrożone nie miało świadomości swego szaleństwa. Myślałam, że kilka miesięcy, spędzonych w oddaleniu, i cisza — uleczą tę ranę i uczynią znów przyjaźń pogodną, pamięć sprawiedliwą. Ale nadeszła rewolucja lutowa, i Paryż stał się odrazu wstrętny dla tego umysłu, niezdolnego nagiąć się do jakiego bądź wstrząsu w formach społecznych. Mając możność powrotu do Polski, lub będąc pewny, że będzie to tolerowane, wolał tęsknić przez dziesięć lat zdala od rodziny, którą uwielbiał, niż boleć na widok swego kraju odmienionego i wypaczonego. Uciekał od tyranji, jak teraz uciekał od wolności.

Zobaczyłam go przez chwilę w marcu 1848. Uścisnęłam rękę jego drżącą i lodowatą. Chciałam mówić do niego, uchylił się od tego. Na mnie była kolej powiedzieć, że już mnie nie kochał. Oszczędziłam mu

*) Dzieci, przybrane do towarzystwa i wychowujące się razem.

tego cierpienia, oddając wszystko w ręce Opatrzności i przyszłości.

Nie dane mi już było zobaczyć go. Były złe serca między nami. Były i dobre, które nie umiały wziąć się do tego. Były i lekkie, które wolały nie mieszać się do spraw delikatnych; Gutmana nie było przy tem *).

Mówiono mi, że przyzywał mnie, żałował, kochał po synowsku do ostatka. Uważano, że trzeba to było ukryć przede mną aż potąd. Uważano, że trzeba to było ukryć i przed nim, iż byłam gotowa biec do niego. Dobrze zrobiono, jeżeli to wzruszenie ujrzenia mnie miało skrócić życie jego o jeden dzień, lub choćby tylko o godzinę. Nie należę do tych, którzy wierzą, że wszystko się rozwiązuje na tym świecie. Tu się dopiero wszystko poczyna i, na pewno, tam się nie kończy zupełnie. Życie tutejsze jest zasłoną, którą cierpienia i choroba czynią gęstszą dla niektórych dusz, która unosi się na chwilę dla organizacyj najtęższych, a którą śmierć rozdziera dla wszystkich.

Pielęgniarka, gdyż takie było moje posłannictwo przez znaczny szmat mego życia, przyjmowałam bez zbytniego zdumienia, a zwłaszcza bez żalu, uniesienia i stłoczenia duszy, opanowanej przez gorączkę. Nauczyłam się u wezgłowia chorych szanować to, co jest

*) Gutman, najlepszy z jego uczniów, dzisiaj sam prawdziwy mistrz, serce zawsze zacne. Był zmuszony być nieobecnym podczas ostatniej choroby Szopena, i powrócił tylko, by przyjąć ostatnie jego tchnienie.

prawdziwą ich wolą zdrową i wolną, i przebaczać to, co jest zamętem i szałem ich fatalności.

Zostałam zapłacona za me lata czuwania, niepokoju i wyrzeczenia się latami czułości, ufności i wdzięczności, jakich godzina niesprawiedliwości czy zbłąkania nie unicestwiła zgoła przed Bogiem. Bóg nie ukarał, Bóg tylko nie spostrzegł tej godziny złej, której cierpienia nie chcę przypominać. Zniosłam ją, nie ze stoicyzmem zimnym, lecz ze łzami boleści i wzruszeń, w ukryciu mej modlitwy. I ponieważ mówię nieobecnym, w życiu czy w śmierci: „Bądźcie błogosławieni!", dlatego spodziewam się, że znajdę w sercu tych, którzy mi zamkną oczy to samo błogosławieństwo w ostatniej mej godzinie.

(*Cztery tomy Historji mego życia, z których to, co tu przytoczono, stanowi już prawie koniec, ukończone zostały 14 czerwca 1855, czyli w 9 lat po rozstaniu się z Szopenem*).

ANALIZA TEKSTU PANI SAND Z WYCIĄGU HISTORJI JEJ ŻYCIA.

Uśmiechałoby mi się takie zadanie: zastosować bezpośrednio do podanego tu wyciągu z Historji życia pani Sand, z pominięciem wszelkiego innego materjału dowodowego, modną tak dzisiaj metodę psychoanalizy, to znaczy, drogą introspekcji i intuicji, czyli, mówiąc po polsku, wzierczości, wedrzeć się, jak nurek, poprzez powierzchnię tego tylko tekstu, poprzez jego wyraz duchowo-zewnętrzny, do głębin jej duszy, dostrzec tam wszystko, co warunkowało tę powierzchnię, co świadomie ukryte zostało, co świadomie odmieniało pęd nurtu — sumienia — i dawało przez to tej powierzchni, mimo maskowanie, formę sztuczną, niepewną, ułomną. Więcej nadto: dostrzec nawet to, o czem ona sama nie wiedziała w sobie, dotrzeć do najgłębszej toni, popod pokłady jej duszy mniej lub więcej świadome, do państwa mrocznego jej podświadomości, gdzie drzemią potwory wiekami dziedziczne, wstrząsając oddechem żywioł, na wymianę jego, na walkę z tem, co już było świadome w tej duszy i odpowiedzialne. Słowem — z obejrzenia i zrozumienia tego wszystkiego w jej du-

szy — poprzez analizę natchnioną wszystkich odcieni, wszystkich załamań jej stylu pisarskiego, wszystkich chwiejności i niedostrojenia się jego wyrazu, wszystkich sprzeczności i twierdzeń dowolnych — obnażyć całą prawdę i wynieść ją na światło dzienne.

Jest li możliwe takie jasno-widzenie ścisłe przez analizę? — Sądzę, że tak. Jeżeli grafolog z charakteru pisma, t. j. z najzewnętrzniejszego wyrazu duszy, jeżeli morfolog z rysów twarzy i budowy kształtu ludzkiego może dość pewnie — przy pewnym zasobie natchnienia — określić właściwości duchowe człowieka, cóż dopiero dobry psychoanalityk, jeśli ma tylko zasób intuicji, i gdy rozporządza rozległym materjałem doświadczalnym w postaci zewnętrznego wyrazu duchowego — słowa!

Sądzę przytem, że, gdy intuicja towarzyszy każdemu rozumowemu wnioskowi na drodze doświadczalnej, i gdy ona właściwie stanowi o dzielności logicznej tego wniosku, im większy więc jej zasób twórczy, odkrywczy (przy ciągłej, oczywiście, kontroli rozumowej), tem bardziej rozszerzają się granice możliwości w zakresie czytania duszy ludzkiej i odkrywania prawdy. Tak — że, teoretycznie, intuicja, złączona ze ścisłą analizą, ze ścisłem rozumowaniem, nie ma granic swej władzy i może być istotnie jasnowidzącą w całem znaczeniu wyrazu.

Niestety! Na takie dzieło trzebaby wiele czasu i wiele wysiłku. Nie licowałoby ono, zresztą, z łatwym i potoczystym wyrazem tej książki. Musimy więc wrócić na zwykłą drogę posługiwania się dokumentami zewnętrznemi dla wyjaśnienia możliwie wiernie stosunku, jaki wiązał Szopena z panią Sand, i stanu dusz, jaki w tym stosunku zachodził. Nie wyrzekamy się, oczywiście, muśnięcia niekiedy tego stosunku piórkiem skrzydłowem intuicji, pozostawiając zresztą w pełni czytelnikowi wyprowadzenie z pamiętnika pani Sand, jeżeli nie na drodze rozumowej intuicji, to na jej drodze uczuciowej i przeczuciowej, tego, co jest w nim prawdą, i tego, co jest w nim udaniem. Będzie to wdzięczne zadanie. Pamiętnik dla tego celu przełożony został dosłownie.

PALMA I VALDEMOSA.

Wróćmy tedy do przerwanego wątku. Uzupełniajmy nim, prostujmy i obnażajmy z osłon kłamliwych, w tych wspomnieniach pani Sand, prawdziwe oblicze faktów. Oznajmiliśmy już główną pobudkę wyjazdu, ułożonego lekkomyślnie przez panią Sand, pobudkę tak sprzeczną z tem, co ona pisze w swej Historji. Zbadajmy teraz warunki pobytu na Majorce.

Podróżni wynajęli początkowo domek letni w Palmie od niejakiego Senora Gomeza. Domek zwał się dźwięcznie *Son Vento*, co znaczy: Dom wietrzny. W ciągu pierwszych paru dni pogoda była wspaniała; potem nastał zwykły okres zimowy deszczów, a raczej ulew. *Son Vento* stało się odrazu niemożliwem do mieszkania. „Ściany były cienkie — pisze pani Sand — i wapno, którem były tynkowane pokoje, wzdęło się, jak gąbka. Nigdy, wyznaję, nie cierpiałam tyle od zimna, chociaż, w rzeczy samej, nie było bardzo zimno: ale dla nas, cośmy przyzwyczajeni ogrzewać się w zimie, dom ten bez kominka był na naszych ramionach, jak płaszcz lodowaty, i czułam się sparaliżowaną". Dodajemy: Cóż dopiero Szopen!

Żywa i zdrowa pani Sand, gdy jeszcze było pięknie, wyprowadziła odrazu Szopena na trzywiorstową, uciążliwą na tym terenie, przechadzkę do ślicznego brzegu północnego (gdzie dziś stoi willa b. arcyksięcia Salvatora). Szopen, oczywiście, powrócił wyczerpany i zachorował. Ulewy jeszcze pogorszyły chorobę. „Nie mogliśmy przyzwyczaić się do zapachu duszącego palenisk — pisze pani Sand — i nasz chory począł cierpieć i kaszlać. Od tej chwili staliśmy się przedmiotem postrachu i grozy dla całej ludności..." Mieszkańcy Majorki uważają suchotników za dotkniętych karą Bożą i przeklętych, stronią też od nich, jak od trędowatych.

Swoją drogą, widoczną jest rzeczą, że pani Sand tai tu trochę prawdę, nie chcąc siebie obciążać. Zdradza ją ta niewinna fajerka, która miała być przyczyną kaszlu... Sądzę, że kaszel zwykły nie wzbudziłby postrachu w panu Gomezie i otoczeniu, nie dałby im pochopu do posądzania Szopena o suchoty. Przyczyną grozy Majorkan był niechybnie... pierwszy krwotok Szopena po tej nieszczęsnej przechadzce i plucie krwią, które trudniej zataić co do znaczenia i którego, zresztą, na razie nie taiła pani Sand, nie znając przesądów otoczenia. Od tej pory to plucie krwią będzie już dość często i suto powtarzało się w tej podróży. Początek jednak musiał być spowodowany wysiłkiem tej pierwszej przechadzki.

Następstwem tego było, że p. Gomez wymówił mieszkanie, kazał niefortunnym lokatorom wybielić i odświeżyć dom i zakupić od siebie za wygórowaną

sumę prześcieradła, poszewki, ręczniki i t. d., których używali podczas swego pobytu.

Wtedy podróżni przenieśli się do odległego o 3 wiorsty od Palmy opuszczonego klasztoru Valdemosy. Klasztor ten, który należał do karmelitów, został przed trzema dopiero laty skasowany przez Mendizabala, po skonfiskowaniu całego jego mienia. Szopen i pani Sand najęli w nim za 35 fr. rocznie jedno z mieszkań, zajmowanych przez zakonników: trzy spore cele, wychodzące na ogród — istny salon kwiecia i zieleni, z drzewami granatowemi, cytrynowemi, pomarańczowemi, alejami i altanami rozwonionemi. Ogród ten, na stoku góry, jak balkon, kończył się tarasem, w którego dole rozkładały się piętrami drzewa pomarańczowe, niżej winnice, jeszcze niżej drzewa migdałowe i palmy. Tło pejzażu — wstęga niebieska morza.

Mieli tam stoły, fotele wyplatane, sofę z drzewa białego, przybraną poduszkami z płótna materacowego, wypchanemi wełną, i duży, piękny fotel gotycki z drzewa dębowego, suto rzeźbiony, który zakrystjan przyciągnął z zakrystji, i którego pudło służyło za bibljotekę. Piękny garnek gliniany na piecu, maty słomiane i skóry baranie na ziemi, kufry podróżne — jako meble wykwintne, z racji swej skórzanej powłoki — oto wnętrze tego romantycznego obozu. W połowie stycznia przybyło niecierpliwie oczekiwane pianino, nadesłane przez Pleyela z Paryża, za które zdarto z Szopena 300 fr. cła.

W klasztorze mieszkał zakrystjan, aptekarz, gospodyni Marja-Antonina, bardzo usłużna, bardzo nabożna i bardzo łupiąca podróżnych. Miała do posług dwie dziewczyny: Ninę i Catalinę, które kradły tak samo, jak ona, i były brudne tak samo, jak ona.

Mięso było tylko wieprzowe, którego Szopen nie jadał, lub stare kury, przyprawione z taką ilością pieprzu, pomidorów i cebuli, a często ozdobione jeszcze żywą pchłą pani Marji-Antoniny, że stanowczo nie można było jeść tego. Chleb nadchodził z Palmy zupełnie przemokły. „Trzeba się było żywić — pisze pani Sand w swej *Hiver à Majorque* — przeważnie owocami, zapijając wyborną wodą źródlaną lub winem muszkatowem; poza tem chlebem, jarzynami, niekiedy kawałkiem ryby lub chudego mięsa, pieczonego zupełnie bez masła". Wieśniacy, nie widujący ich w kościele i traktujący ich przeto, jak pogan, albo nic nie chcieli im sprzedawać, lub brali czelnie poczwórne ceny.

Wnętrze klasztoru budziło nastrój mroczny, romantyczny, jak dekoracja z aktu z mniszkami w *Robercie Djable*. Sama pani Sand wyznaje, że nigdy nie mogła przejść wieczorem korytarzami klasztoru, by nie doznawała dreszczu grozy i tajemnej przyjemności, z czem nie zdradzała się przed dziećmi, żeby ich nie nastrajać podobnie. Używała tedy wpełni tego nastroju do pisania swego *Spiridjona*. Biegała przytem z dziećmi, dając upust swej żywotności. I czy dziw potem, że Szopen, chory i zamknięty w tem uroczysku, „zdemoralizował się", jak to nazywa pani Sand, w swem usposobieniu. A zaś jak był chory, niech świadczą własne jej słowa:

„Na miejsce bronchitu przyszło podniecenie nerwowe, które dawało wiele objawów suchot gardlanych.

„Lekarz, który widział te objawy w pewnych momentach, i który nie widział symptomatów przeciwnych, widocznych dla mnie w innych godzinach, był za zabiegami, jakie się stosują do suchotników: za puszczeniem krwi, za dietą, za mleczywem. Wszystko to było absolutnie szkodliwe, a puszczenie krwi byłoby śmiertelne. Chory miał instyktowne poczucie tego, i ja, która, nie znając nic z medycyny, pielęgnowałam wielu chorych, miałam to samo przeczucie. Drżałam jednak, oddając się temu instynktowi, który mógł mylić, i walcząc z twierdzeniami adepta sztuki lekarskiej; i gdy widziałam, że choroba się pogarsza, zatrwożyłam się prawdziwie, co każdy winien zrozumieć. Puszczenie krwi ocali go, mówiono mi, a jeżeli pani wzbrania tego, chory umrze. Jednak był głos we mnie, który mi mówił nawet we śnie: Puszczenie krwi zabije go, jeżeli zaś zaniechasz tego, nie umrze on. Jestem przekonana, że głos ten był głosem Opatrzności, i dzisiaj, gdy nasz przyjaciel, postrach mieszkańców Majorki, jest uznany równie mało za suchotnika, jak i ja, dziękuję Niebu, że nie odebrało mi ufności, która nas zbawiła“ *).

Aż tak łudziła się pani Sand, czy też lekkomyślnie i samolubnie pocieszała się chwilą, nie myśląc o przyszłości, nie widząc i nie kochając nic, poza swą chwilą?

---

*) *Un hiver à Majorque.*

Szopen mógł być rozdrażniony, a nawet przerażony swym stanem. Po pierwszym krwotoku, o którym, zda się, słusznie zawyrokowaliśmy, podniecona zawsze i bez tego wyobraźnia jego, jak żywa substancja obnażona, mogła mu nastręczać najczarniejsze widoki. Bez doświadczonego lekarza, na dzikiej tej, choć tak pięknej wyspie, zdala od świata, śród obcych i wrogich tak ludzi, czuł się, jak zawieszony nad straszną przepaścią... Nie chciał tu umierać, chciał się ratować... Nie dziw więc, że każdym nerwem rwał się do powrotu, i że klasztor ze swą ponurą atmosferą stał mu się kołem tortury. Dziwić się tylko należy, że pani Sand miarą swych postronkowatych nerwów i bujnej porywczej natury mierzyła tę organizację subtelną, nie umiejąc zresztą dawać tej tkliwej, tej skupionej czułości kobiecej, która koi, jak balsam cudowny. Już też w pierwszych tych miodowych miesiącach miłości poznał Szopen gorycze obcości.

Dźwigał się jednak Szopen, ta natura kobieca ze szkieletem żołnierza, jak ktoś go dobrze określił — dźwigał się i tworzył. Duchem twórczym, nakazem wiecznym, zabijał pamięć choroby i doli. Wiemy z opisu pani Sand, w jakich warunkach i z jakim wysiłkiem twórczym powstało preludjum z owemi kroplami. Dla mnie moment ten, chociaż nieściśle oddany przez panią Sand, gdyż na takich najwyższych lotach orlich, ona, wół (zresztą twórczy!), nie znała się zupełnie, dla mnie, powtarzam, moment ten jest najszczytniejszym momentem twórczym ducha, na jaki człowiek może się zdobyć na ziemi. By to zrozumieć,

trzeba dobrze przedstawić sobie sytuację. Zróbmy to na przykładzie osobistym. Wyobraźmy sobie, że sami jesteśmy chorzy i nie możemy wyjść, i że kochana przez nas osoba wyszła (dodajmy specjalne warunki terenu, obcych ludzi i t. d.) i miała wrócić o oznaczonej porze. Mija od tej pory godzina, dwie, trzy, zapada noc, za oknem straszna ulewa, drogi zamieniająca w potoki, ciemność zupełna — osoba ta nie wraca. Przez całe te godziny przechodzimy tortury oczekiwania, trwogi, najgorszych przypuszczeń, dochodzimy prawie do szaleństwa rozpaczy — i w takiej chwili zdobywamy się na akt twórczy ducha, siadamy do pianina i cały nasz osobisty stan katuszy, umierania, rzec można, duszy, przenosimy żywcem, wysiłkiem, do nieosobistego królestwa ducha — sztuki, tonów, muzyki — do t a m t e g o świata, nic nie tracąc z przytomności bolesnej t e g o świata i rzeczywistości. Proszę zwrócić uwagę na stan duszy Szopena, jak to opisuje pani Sand, w chwili, gdy ona wraca wreszcie z dziećmi i staje przed nim bosa, opływająca wodą, a Szopen widzi ją jeszcze w t a m t y m świecie i mówi: „Wiedziałem, że umarliście!“ Pani Sand widzi w tem tylko chwilowy obłęd, stan chorobliwy, gdy tymczasem jest to najwyższy moment zdrowia i życia ducha, zabierający doczesność do swego wiecznego królestwa. To też uwagi pani Sand o chorobliwości sztuki Szopena nie mają zgoła sensu: o tych stanach w i e c z n e g o zdrowia ducha nie miała pani Sand, przy całym swym praktycznym genjuszu, najmniejszego pojęcia.

W takim wysiłku twórczym i z takich wyżyn ducha spłynęło na Majorce arcydzieło — zeszyt 24 krótkich, jak skupione w soczewce duszy dzieje ogniste cierpień i pragnień, utworów, nazwanych skromnie przez Szopena p r e l u d j a m i, i tam wygotowanych (prócz paru, które powstały wcześniej). Są to prawdziwie poszczególne łzy brylantowe ducha, odbijające słońce wieczne życia *) — dokumenty pierwszego roku namiętności miłosnej i cierpień Szopena. Wmieszane są tam motywy zewnętrzne przyrody i atmosfery, ale wszystko to, jak zawsze u Szopena, wzniesione i stopione w wewnętrznej treści ducha.

Rękopis tych preludjów został przesłany Fontanie w początkach stycznia ze wskazówkami ścisłemi, dotyczącemi wydawców. Następnie został temuż przyjacielowi przesłany drugi pakiet, zawierający balladę (N. 2) i dwa polonezy. Francuskim wydawcą tych rzeczy był Pleyel, niemieckim Probst. Miało dać to razem 5.000 fr.

---

*) Istnieje różnica zdań co do tego, które z preludjów jest owem z kroplami spadającemi, według opisu pani Sand. Według hr. Wodzińskiego *(Les trois romans de Fréderic Chopin*, Paryż, 1886), jest niem N. 6, według Liszta — N. 8, według Ganche'a — N. 15. Zdaje się jednak, że jest niem istotnie N. 6.

POWRÓT.

Pani Sand słusznie twierdzi, że Szopen umierał z niecierpliwości odjazdu. Położenie było okropne. „Były dni — pisze pani Sand w swej „Zimie na Majorce“ — gdym traciła zupełnie nadzieję i odwagę“. Szopen, zdało się, nie był w możności wytrzymać tej jazdy, ale nie był zdolny również do zniesienia tygodnia dłużej na tej wyspie. Nadomiar pobożna Marja-Antonina i jej kumoszki wiejskie przy każdej sposobności nie zaniedbywały zgodnym chórem głosić budujących wyroczni względem chorego.

„Suchotnik ten — mówiły — pójdzie do piekła, naprzód dlatego, że jest suchotnikiem, następnie dlatego, że nie spowiada się“.

„Jeżeli tak — przywtarzały — to, kiedy umrze, nie pochowamy go w ziemi święconej, a ponieważ nikt go nie zechce pogrzebać, ci państwo urządzą się, jak będą mogli. Zobaczymy, jak dadzą sobie radę. Co do mnie, ja się nie będę mieszała do tego“.

„Ani ja, ani ja! I — Amen!“ *).

*) *Un Hiver à Majorque.*

Nareszcie koło połowy lutego wichry zimowe ustały, i *El Mallorquin,* jedyny żaglowiec, kursujący co ośm dni między Palmą i Barceloną, mógł odjechać z portu.

Przeprawa z Valdemosy do morza po kamienistych stopniach była dla Szopena straszna. Ale gotów był na wszystko, byle tylko jechać.

Na statku — przyjęcie jak najgorsze, warunki najobrzydliwsze. Jechali z setką kwiczących i hurkocących świń. Kapitan klął i wrzeszczał. Dał Szopenowi najgorszy leżak, mówiąc, że będzie go musiał spalić potem. Noc była fatalna. Gdy przybyli do Barcelony, Szopen pluł krwią „całemi miseczkami“. Pani Sand, nie czekając na wylądowanie, „by raz na całą wieczność skończyć z tą rasą nieludzką“, napisała bilecik do komendanta stacji, p. Belvès'a, i posłała go łódką. W kilka chwil potem przybył on na swym stateczku, i podróżni udali się na pokład *Méleagre*'a.

„Stawiając stopę — pisze pani Sand*) — na tym pięknym *brick*'u wojennym, utrzymanym z czystością i elegancją salonu, widząc się otoczonymi przez postaci inteligentne i uprzejme, przyjmując troski szlachetne i uprzedzające komendanta, lekarza, oficerów i całej załogi, ściskając dłoń przezacnego i dowcipnego konsula francuskiego, p. Gautier d'Arc, rozradowaliśmy się na pokładzie, krzycząc z głębi duszy: „Niech żyje Francja!“ Zdawało nam się, że objechaliśmy ziemię i porzucamy dzikusów Polinezji dla świata cywilizowanego“.

*) Un Hiver à Majorque.

Lekarz na Méleagrze zatamował krwotok Szopenowi, i, gdy chory uczuł się lepiej, powóz konsula przewiózł go do hotelu. 15 lutego 1839 pani Sand pisze do pani Marliani: „Otośmy w Barcelonie. Daj to, Boże, żebym rychle odjechała z niej, i żeby noga moja nie postała nigdy w Hiszpanji!"

Cały więc pobyt Szopena na Majorce trwał, jak jedna wielka męka moralna i fizyczna, trzy miesiące: od połowy listopada do połowy lutego. Dosyć, by nieuleczalnie nadwerężyć wątły organizm.

Zabawiwszy ośm dni w Barcelonie, podróżni na statku *Phénicien* przeprawili się do Marsylji. 26 lutego pisze z Marsylji pani Sand do pani Marliani: „Oto nareszcie, droga, jesteśmy we Francji!.. Jeszcze miesiąc, i bylibyśmy umarli w Hiszpanji, Szopen i ja: on z melancholji i wstrętu, ja z gniewu i oburzenia".

W Marsylji, ze względu na stan fizyczny Szopena, zatrzymali się trzy miesiące, licząc w to i wyjazd na kilka dni do Genui. Wiemy już, że Szopen był przez ten czas pod opieką lekarską doktora Cauvière'a.

Atmosfera handlowa miasta nie przypadła do gustu wędrowcom, i pani Sand pisze żartobliwie: „Zaledwie wytknę nos przez okno, na ulicę, czy na port, już cała zamieniam się w głowę cukru, w pudło mydła, lub w pakę świec". Skarży się przytem na różną hałastrę (*racaille*) literacką i muzyczną, która od rana do wieczora nachodzi ich mieszkanie hotelowe.

W marcu dął mistral, i trzeba było osłaniać się parawanami w pokojach.

Szopen czuł się nieco lepiej ze zdrowiem. Sypiał dobrze, jak dziecko, i to dawało lekarzowi wielką nadzieję. Mamy z tego czasu list pani Sand do pani Marliani, list, pełen pięknej tkliwości literackiej i dziwnej przytem niefrasobliwości życiowej o osobę doczesną Szopena. „Spadła na niego od kilku dni śpiączka, którą uważam za dobrą, ale na którą wzburza się jego duch niespokojny i czynny. To naprożno: trzeba, żeby spał całą noc i dobry kawał dnia... Ten Szopen — to anioł: dobroć jego, czułość i cierpliwość niepokoją mnie czasami; wyobrażam sobie, że jest to organizacja nazbyt delikatna, nazbyt wytworna i nazbyt doskonała, by żyć długo naszem zwykłem i ciężkiem życiem ziemskiem. Na Majorce, będąc chory i prawie umierający, traczył nas muzyką taką, że czułaś raj tuż przed nosem, ale ja tak się przyzwyczaiłam widzieć go w niebie, że nie zdaje mi się, by jego życie czy jego śmierć stanowiły o nim. Nie wie on sam nawet dobrze, na jakiej planecie żyje, nie zdaje sobie zgoła sprawy z życia, jak my je rozumiemy i jak my je czujemy" *).

Obraz powyższy śpiącego Szopena, chorego Szopena, d o b r e g o, t k l i w e g o, i c i e r p l i w e g o, przypomina mi, przez skojarzenie się pojęć snu i śmierci, jego maskę pośmiertną, maskę z cieniami zastygłemi cierpienia na skroniach, z orlim nosem już kornym, z wyrazem takiej potulności i uległości barankowej w ustach,

*) Fragment ten został po raz pierwszy podany przez W. Karenina: *Georges Sand.* III, 98.

że nie można patrzeć na nią bez ściskającego się niemo serca, bez najwyższej tkliwości i największej miłości dla niego.

W Genui, podczas kilkudniowego (niepotrzebnego zgoła) pobytu, 24 kwietnia Szopen ofiarował się (również niepotrzebnie) grać na organach w kościele Notre-Dame-du-Mont podczas pogrzebu słynnego śpiewaka, Adolfa Nourrit, który zmarł w Neapolu, rzuciwszy się z okna, a którego zwłoki przewieziono do Genui. Kościół był pełny, za krzesła ściągano po 50 centymów, ale tłum, spodziewający się gromów organowych, doznał zawodu: Szopen grał „*Gwiazdy*" Szuberta, ale tak tęsknie i tak łagodnie, że tony brzmiały, jak z innego już świata płynące.

W powrotnej do Marsylji drodze znów się pogorszył stan zdrowia Szopena. Gościł ich u siebie doktór Cauvière i opiekował się Szopenem. Dopiero 22-go maja 1839 rankiem opuścili Marsylję. W Arles oczekiwał powóz pani Sand. Powracali spokojnie, pisze pani Sand, „noclegując w oberżach, jak zacni mieszczanie: *comme de bons bourgeois*". W końcu miesiąca byli już w Nohant, i tam, z racji lata, pozostał Szopen.

Życie letnie w Nohant upływało spokojnie. Od czasu do czasu przyjechał ten lub ów z przyjaciół. Obiadują na świeżem powietrzu. Do piątej pani Sand uczy swe dzieci. „O szarym zmroku — pisze pani Sand do pani Marliani — Szopen gra mi na fortepianie, potem zasypia, jak dziecko, jednocześnie z dziećmi".

Tak spoczęli narazie po całorocznych godach miłości, których druga połowa oznajmiła się czarą krwawą choroby Szopena.

Co znaczy wypisana ołówkiem na ścianie pokoju pani Sand w Nohant data: 18 czerwca 1839, która się do dzisiaj zachowała? Karenin przypuszcza, że pani Sand zapisała tu początek „słodkiej i spokojnej zażyłości rodzinnej pod jednym dachem z istotą kochaną".

Ja nie byłbym tego zdania, i przypuszczałbym coś wręcz przeciwnego w uczuciach i postanowieniach pani Sand. Trzeba pamiętać, że zbliżenie się Szopena i pani Sand datuje się już od roku, i od tegoż prawdopodobnie czasu datuje się ich „zażyłość rodzinna", którą ma na myśli p. Karenin. Może nawet ta data wypisana jest rocznicą początku tej zażyłości, uprzytomnioną przez panią Sand dla innego zgoła celu. Z drugiej strony, od przybycia do Nohant do tej daty upłynęło trzy tygodnie. Wątpię, by trwał tak długo namysł „zażyłości rodzinnej".

Rok miłości jednostajnej dla pani Sand — to dużo, to stanowczo za dużo dla jej wyobraźni, żądnej wciąż nowych uczuć i podniet do natchnień jej literackich. Słuszniejszy więc będzie wniosek, że data ta oznajmia raczej i ma uprzytamniać naocznie pani Sand dzień jej postanowienia, w którem uczucia jej „egoistyczno-miłosne" dla Szopena, jak się po roku przekonała, uczucia kochanki, przechodzą formalnie na teren altruistyczny — miłości macierzyńskiej dla niego. Wyjaśnimy to jeszcze w dalszym toku.

WIEK MĘSKI — WIEK KLĘSKI SZOPENA.

NOHANT I PARYŻ.

(1839 — 1846)

Jeżeli stosuję tu godło Mickiewiczowskie, po tym roku krwawego chrztu miłosnego Szopena, do pozostałych ośmiu lat bolesnych jego pożycia z panią Sand, i do dwóch ostatnich, po rozstaniu się z nią, lat właściwych jego agonji, to nie czynię tego bynajmniej w znaczeniu jakiemś absolutnem: dotyczy ono tylko fizycznej powłoki Szopena i sprawy jego osobistej życia — nie dotyczy ono ducha Szopena i sprawy jego sztuki. Sądzę, owszem, że klęska ta osobista była konieczna dla pełnego wyrobienia anielstwa artystycznego Szopena. Trudno! Wszystko, co wielkie, musi się opłacać ofiarą.

Majorka była już właściwie pochyleniem się wieka nad trumną Szopena. Ruch tego wieka można było tylko zwalniać sztucznie do czasu, ale żaden lekarz nie był go już mocen powstrzymać. Los ciężył nieodwołalnie.

Uczenica Szopena, pani Streicher, pobierająca lekcje w 1839, tak pisze o nim: „Niestety! cierpiał on

bardzo. Słaby, blady i kaszlący, zażywał często krople opjum na cukrze i wodę żywiczną (*eau de gomme*), wycierał sobie czoło wodą kolońską, i, mimo to, uczył z cierpliwością, wytrwałością i gorliwością przedziwną". Od tej pory, mimo popraw i zatrzymań chwilowych, ciągły spadek widoczny. Po rozstaniu się z panią Sand będzie już, jak cień. Nie będzie mógł wchodzić na schody. W 1847 nie będzie już prawie chodził. Sprawy z wydawcami będzie załatwiał w powozie, zatrzymawszy go przed magazynem, otulony w swój płaszcz niebieski i z trudem rozmawiając z księgarzem, który do niego podąży *).

Ale wróćmy do r. 1839. Pani Sand, po urządzeniu się już w Nohant, pisze, jak zawsze, do swej przyjaciółki, że „Szopen ma się to lepiej, to gorzej, nigdy właściwie ani źle, ani dobrze". Sądzi ona, że „biednego dziecka przeznaczeniem jest ciągła mała tęsknica". Swoją drogą, skoro tylko ma więcej sił, jest wesół, a gdy jest melancholijny, rzuca się na fortepian i komponuje śliczne rzeczy. Poza tem uczy Solange.

Pani Sand mówiła niedawno, że Szopen nie ma nic wspólnego z naszem życiem praktycznem, tymczasem Szopen, poza chorowaniem i komponowaniem, jest do najmniejszych szczegółów zajęty sprawami praktycznemi pani Sand i swemi. Daje on z Nohant polecenia listowne Fontanie co do wynajęcia i urządzenia apartamentów mieszkalnych na zimę dla pani Sand i dla

*) F. Niecks. Frederick Chopin, II, 309.

siebie, i trzeba czytać te listy, by podziwiać cały ład i obrazową dokładność praktyczną umysłu Szopena. Na taką systematyczność, na takie dobre widzenie szczegółów może się tylko zdobyć genjusz twórczy, u którego wyobraźnia, pierwej nim urzeczywistni, ma już wszystko w gotowym planie stworzonym, w ładzie i porządku niezbitym. Ta właściwość duszy Szopena, jasnej, okrzętnej, urządzonej z całą prostotą wytworną, zawsze pomnej, dbałej i opanowanej, mimo najwyższe natchnienia, jest naczelnym rysem jego genjuszu twórczego, jego genjuszu i wdzięku życiowego. Jest on prawdziwym arystokratą — prawdziwym królewiczem ideału i piękna.

Wszystko w tych listach do Fontany jest wyszczególnione, nic nie zapomniane: kolor obić i szlaków do wszystkich pokojów i do przedpokoju — z poleceniem, by to było proste, skromne, wytworne — nie krzykliwe i nie to, co w powszechnem użyciu mody. Jako że dla literatki potrzebny spokój, więc niema być wpobliżu kowala — schody przyzwoite, okna na południe, niema być dymu i wstrętnych wyziewów. I tak dalej. Tak samo co do swego ubrania — spodni, kamizelki, kapelusza, które poleca Fontanie zamówić u swych stałych dostawców: wszystko, co do guzika, omówione, przewidziane, wskazane. Duch porządku — najidealniejszy.

Fontana, według zlecenia, najął dla pani Sand dwa pawilony w ogrodzie, przy ul. Pigalle, 16, za 2500 fr., i dla Szopena, przy ul. Tronchet, 5, dwa piękne pokoje z przedpokojem. W październiku zjechali do Paryża na zimę, gdzie pozostali, wyjątkowo, i przez lato 1840 r.

Po kilku miesiącach, przeniósł się Szopen na ul. Pigalle, do jednego z pawilonów, jakie zajmowała pani Sand. Swoje mieszkanie odstąpił przyjacielowi Matuszyńskiemu. Przyczyną tego była, jak pisze pani Sand, odległość, utrudniająca jej pielęgnowanie coraz częściej zapadającego na zdrowiu Szopena. Tu przyjaciele pani Sand i Szopena: wybitni literaci, muzycy, artyści, politycy, świat arystokracji i świat finansjery, spotykali się i obcowali razem. Szopen dawał lekcje do czwartej, wtedy wstawała pani Sand, i życie poczynało się wspólne.

Jakgdyby pragnąc powetować rok chłonny miłości, Szopen tworzy teraz i wydaje bardzo dużo: rok 1840, 1841 i 1843 należą do najpłodniejszych i stanowią szczyt rozkwitu genjuszu Szopena. W 1840 wydał sonatę na fortepian ze słynnym marszem pogrzebowym, Drugie impromptu, Dwa nokturny, Drugą balladę (poświęconą Szumanowi), Trzecie scherzo (Gutmanowi), Dwa polonezy (Fontanie), Cztery mazurki (Witwickiemu) i Walca — w numeracji opusów — od 35 do 42 włącznie.

Na Sonacie zrazu się nie poznał Szuman — z powodu jej odbieżenia od kanonów klasycznych sonaty. To czworo jego warjackich dzieci, powiada, wdarło się czelnie tam, gdzie nie powinny się nigdy znajdować. Swoją drogą, nie może się powstrzymać od zachwytu nad początkiem sonaty, namiętnym i burzliwym, i wykrzykuje: „Jeden Szopen tak umie rozpocząć!".

E. Poirée, natomiast, w sonacie tej, poczętej prawdopodobnie w zarysie na Majorce i stanowiącej kryzys ówczesnego stanu duszy Szopena, widzi najwspanialszą epopeję: z *allegro*, jak jakimś gestem, który odpycha śmierć z przerażeniem, by potem ukoić się w wielkim wzlocie lirycznym myśli i zakończyć dysonansami na dysonansach; ze *scherzo*, gdzie śmierć wałęsa się i czyha w komnacie, by wreszcie dokonać swego dzieła; z marszem następnie żałobnym, gdzie występuje cała potęga dramatu lirycznego i zagadnienia metafizycznego śmierci, wyrażonego w tonach muzyki, jakim żadne słowo nie sprosta w swym uczuciowym wyrazie; i z *finale* dziwnem, bez melodji, bez kształtu, jak chaos twórczy, czy chaos wszystko zmiatający, który tak świetnie ocenia Poirée: „Wielki ten wir, który, w ciągu kilku minut, zamiata fortepian szalejącemi swemi oktawami, jednobrzmiącemi i bez formy uchwytnej, jest kartą być może najśmielszą, jaka kiedy została napisana w muzyce świata. Śmierć okazuje się tam z całym realizmem strasznym swej siły brutalnej, wszystko niszczącej, wszystko w proch burzącej!"

Oto epopeja uczuć, przez jakie przechodził Szopen na Majorce, wobec pierwszego widma nieodstępnej już śmierci.

Rok 1841 zaznaczył się w życiu Szopena tem, że wystąpił on ze swym koncertem publicznym, którego nie urządzał w Paryżu od r. 1832. Nie lubił on wogóle grać przed liczniejszą publicznością: w gronie kilku, kilkunastu przyjaciół, gdy atmosfera była ze-

strojona, koło północy zwykle, siadłszy do fortepianu na niemą prośbę oczu inteligentnych, wyczarowywał ten Rafael fortepianu, jak go Heine nazywał, w grze swych utworów, lub jeszcze bardziej w improwizacjach swych, tony, o jakich ci, co go nie słyszeli, nie mogą mieć pojęcia. Urok jego duszy spływał wtedy, jak jakaś zaziemska muzyka, pogrążając wszystkich w religijne iście natchnienia. Wielka sala z obcym tłumem, przeciwnie, rozpraszała mu magnetyczny węzeł sympatji.

Koncert odbył się 26 kwietnia w sali Pleyela. Jak pisze Liszt w *Gazette musicale,* salony p. Pleyela były wspaniale oświetlone, na dole schody pokryte dywanami i ozdobione wonnemi kwiatami, powozy i karety dowoziły ciągle najwykwintniejsze, najstrojniejsze kobiety, kwiat znanej młodzieży, artystów najsławniejszych, finansistów najbogatszych, całą arystokrację rodu, mienia, talentu i piękna. Na estradzie długi fortepian otwarty. Wszyscy mają za punkt honoru zająć najbliższe miejsca, wszyscy się usposabiają, by nie uronić jednego akordu, jednego tonu tego, który się za chwilę ukaże.

Powodzenie było zupełne. „Sława wytworna Szopena", powiada Liszt, „pozostała wolna od wszelkiego zarzutu. Milczenie zupełne krytyki zwarło się koło niej, jakgdyby już potomność nadeszła; i w świetnem audytorjum, jakie przybieżało, by powitać poetę, który zbyt długo był niemy, nie było ani jednego zamilknienia, ani jednego zastrzeżenia: na ustach wszystkich była jedna chwalba".

Od czerwca tego roku pani Sand i Szopen są, jak i zaprzeszłego lata, w Nohant. Stąd Szopen posyła Fontanie*), jak wiemy to z listu do niego, Preludjum nr. 25 (op. 45) dla wydawcy Schlezingera, które wydane zostało jednocześnie z Polonezem, op. 44, w listopadzie tego roku; pochodzą one niewątpliwie z tegoż okresu twórczości. W obu tych utworach jest ten sam niepokój zadyszany i te same wołania. Stąd słusznie zapytuje p. Bidou w swej książce o Szopenie, robiąc ich analizę muzyczną, czy, podczas zimy 1840—41, nie zaszedł jaki dramat w życiu Szopena, którego zwierzeniem jedynem byłyby dwa te utwory, świadkowie tajemni duszy. Dramatem tym było poczucie bezradnej już męki z powodu pani Sand.

W tymże, 1841, wyszły jeszcze: Tarantela, Allegro z koncertu fortepianowego, Trzecia ballada, Dwa nokturny, Fantazja fortepianowa i Trzy mazurki. Razem 8 opusów — od 43 do 50 włącznie.

Rok 1842 dał sporo wyczerpujących wzruszeń Szopenowi. Naprzód — drugi koncert w sali Pleyela,

*) Gdy mowa o Fontanie, mimochodem zaznaczam, dla wiadomości p. p. muzyków, że Ganche w niedawnej swej wtórej książce o Szopenie („Dans le souvenir de Frédéric Chopin", Paryż, 1925), oburza się bardzo słusznie na Fontanę za poprawianie i przeinaczanie niektórych miejsc w utworach pozostałych. w spuściźnie rękopiśmienniczej po Szopenie, którą on wydawał Dodaje też p. Ganche na końcu swej książki przywrócony podług rękopisów tekst muzyczny tych miejsc (w czterech walcach i w jednym mazurku), wykazując całą nieudolność i czelność karygodną Fontany.

21 lutego. *France musicale* pisze o nim, że była to jakaś zaczarowana uczta, gdzie prostota żeniła się z wdziękiem i elegancją, a dobry smak był piedestałem bogactwa. Była i pani Sand z młodą swą kuzynką, Augustyną Brault. Gdy weszła, wszystkie spojrzenia skierowały się na nią. Ona spuściła głowę i uśmiechnęła się.

Szopen grał ostatnie swoje utwory: Trzecią balladę, Trzy mazurki, Trzy etjudy, Preludjum, Impromptu i Cztery nokturny. Panna Viardot śpiewała, Franchomme grał na wiolonczeli.

20 kwietnia 1842 traci swego długoletniego przyjaciela, Matuszyńskiego, który umiera na suchoty. Pogrąża to wielce Szopena moralnie i fizycznie.

Lato, jak i przeszłe, w Nohant. Komponuje, jak zawsze w tej porze, najwięcej.

Powróciwszy w jesieni do Paryża, Szopen i pani Sand zmieniają mieszkanie. Zamieszkują teraz na Square d'Orléans, nr. 5 i nr. 9; pani Marliani zajęła środkowy numer 7. Życie urządza się wspólne. Pani Marliani obejmuje dział gospodarczy, jak to opisała pani Sand w „Historji swego życia".

Rok 1843 — nic osobliwego, chyba wyprawa we wrześniu do rzeki Creuse'y, opisana w „Historji życia" pani Sand, do której dodamy list pani Sand do przyjaciółki, z tą wzmianką: „Wracam z małej podróży do brzegów Creuse'y, poprzez niewielkie góry, ale bardzo malownicze i daleko więcej niedostępne, niż Alpy, jako że niemasz tam ani dróg, ni oberż. Szopen wspinał się wszędy na swym ośle, spał na słomie i nie

czuł się nigdy lepiej, jak podczas tych trudów i tych hazardów".

Pani Sand miała osobliwy sposób leczenia płuc chorych, dając im chwilową podnietę i spalając je tem jeszcze szybciej.

Rok 1844: cios! Po śmierci przyjaciela, śmierć ojca Szopena, Mikołaja, która nastąpiła 3 maja 1844. Szopen odczuł ją bardzo, choć pani Sand zbyt niezdarnie i przesadnie opisała jego cierpienia. Nie mogąc nic zrozumieć z metafizycznej strony cierpienia, i dziwiąc się, jak ktoś nie może pocieszyć się tak, jak ona, samolubną chwilą, nazywa cierpienie Szopena zabobonem słowiańskim! Typowa kompetencja francuska!..

Siostra starsza Szopena, Ludwika Jędrzejowiczowa, wybrała się z mężem do Paryża, by odwiedzić Szopena. Pani Sand, która umiała zjednywać sobie rodzinę Szopena układnem wystawianiem swych trosk, swej opieki i swego poświęcenia dla „biednego dziecka", zaprosiła p. p. Jędrzejowiczów do Nohant. Przebyli tam sierpień, i we wrześniu odprowadził ich Szopen do Paryża. 18 września pani Sand pisze do pani Jędrzejowiczowej: „Od waszego wyjazdu żyjemy tylko wami. Fryderyk cierpiał z powodu waszego wyjazdu, jak to słusznie mogła mniemać pani, ale strona fizyczna jego zniosła dość dobrze tę próbę. W rezultacie dobre i święte postanowienie wasze przyniosło owoce. Usunęło ono wszystką gorycz z jego duszy, uczyniło ją mocną i mężną. Nie kosztuje się tyle szczęścia w ciągu miesiąca, by coś nie zostało

z tego... Zapewniam panią, że jest pani najlepszym lekarzem, jaki kiedy istniał, ponieważ dość mu mówić o pani, by wrócić mu miłość życia".

List ten, od początku do końca, prócz układnego pochlebstwa, nie zawiera ani słowa szczerości. Nawet styl epoki nie usprawiedliwia jego sztuczności literackiej.

Zaraz po tym liście pisze szczerzej do pani Marliani: „Szopen, dzięki swej siostrze, która jest starsza od niego, wyzbył się teraz wszystkich swych przesądów. Jest to odmiana znaczna, której sam nie dostrzega w sobie". Pani Sand ma tu na myśli skrupuły Szopena co do związku z nią i co do jej przekonań antyklerykalnych i wolnomyślnych; siostra Szopena miała mu wybić te skrupuły z głowy! Dziwnie łatwowierna kobieta — pani Sand! Według niej, rdzeń duszy ludzkiej zmienia się, jak liść na drzewie. — Tylko że liść taki sam powraca...

Do tego, 1843 roku, dodać chyba należy kilka słów oceny Heinego, by wskazać, na jakiej już wyżynie stanęła wówczas w opinji sława Szopena. Robiąc w *Gazecie Augsburskiej* przegląd ówczesnych słynnych muzyków, Heine woła w kierunku najwybitniejszego z nich: „Powieś się, Franciszku Liszcie! jesteś tylko podrzędnym kalkancistą (*souffleur*) w porównaniu z tym Eolem, który wiąże razem huragany, jak drzewa brzóz, i smaga niemi grzbiet morza!" Potem opisuje innych i podnosi Thalberga, kończąc: „Jest jeden tylko pianista, którego przekładam nad niego, Szopen, ale on, coprawda, jest raczej kompozytorem, niż pia-

nistą. Słuchając Szopena, zapominam całkowicie o jego grze jako mistrza pianisty, i pogrążam się w słodkie otchłanie jego muzyki, w bolesne rozkosze jego tworów równie wykwintnych, jak głębokich. Szopen jest wielkim poetą, duchem, artystą genjalnym, którego należy wymieniać tylko w towarzystwie Mozarta, Beethovena, Rossiniego czy Berlioza" *).

24 kwietnia 1844 napisze jeszcze: „Jestem zmuszony ciągle powtarzać, że jest tylko trzech pianistów, zasługujących na uwagę poważną. Pierwszy—to Szopen, czarujący poeta-muzyk, który, niestety, był tej zimy bardzo chory i mało ukazujący się ogółowi"...**). Dwaj inni — Thalberg i Liszt.

To zima surowa 1844 — 45 pogorszyła bardzo zdrowie Szopena. W czerwcu 1845 przyjechał do Nohant.

Od 1842 do 1846 dorobek twórczy Szopena, przeważnie z letnich miesięcy, stanowią opusy od 51 do 59, zawierające: Trzecie impromptu, Czwartą balladę, Ósmego poloneza, Scherzo № 4, Dwa nokturny, Trzy mazurki, Berseuse i Sonatę. Ton ich przeważnie, jak wszystkich utworów z okresu związku z panią Sand, bolesny, często potężny w wyrazie często zapadający w otchłanie beznadziejne.

Wogóle twórczość Szopena można podzielić na 3 okresy: pierwszy — werwa i świetna fantazja młodzieńcza (etjudy), drugi — do wyjazdu na Majorkę —

*) Heine, *Lutèce*, str. 316—317.

**) Tamże str. 392.

doskonałość sztuki w harmonji zupełnej z poezją, dbałość o wykończenie, o formę; trzeci — od Majorki — okres bolesny, melancholijny, gorączkowo podniecony, okres potężnej i rozpacznej walki ducha z ciałem i przeznaczeniem. Pierwszy — jakgdyby dusza nad ciałem, drugi — dusza w równowadze z ciałem, trzeci — oddzieranie się bolesne i gwałtowne duszy całemi płatami od ciała.

SZELMOSTWO LITERACKIE
(1846)

Początek lata 1846. Szopen i pani Sand są jeszcze w Paryżu. Wkrótce mają jechać do Nohant. Pani Sand robi ostatnie poprawki w gotowym już rękopisie powieści, którą ma oddać do natychmiastowego druku w *Courrier Français,* jeszcze z końcem czerwca. Tytuł powieści *Lucrezia Floriani.* Szopen, od dłuższego czasu bardzo zgnębiony i zamknięty w sobie, mniej interesuje się twórczością pani Sand. Zresztą, sama mu nie mówiła o tej powieści.

Godzina przedwieczorna. Pani Sand pracuje w swym gabinecie. Wchodzi Szopen. Po niemem powitaniu, przysiada na chwilę, by odpocząć. Męczy się już bardzo chodzeniem. Ale, mimo bladości i zgnębienia, jest zawsze wytworny i dbały.

Pani Sand, od swej roboty zerknąwszy nieznacznie w stronę Szopena, mówi jakgdyby odniechcenia, choć głos jej drga sztucznem stłumieniem.

— Wiesz! Napisałam nową powieść... O, ty się teraz nie interesujesz memi pracami literackiemi!..

— Ależ, owszem... — odpowiada Szopen cichym głosem, nie podnosząc głowy.

— Tytuł: *Lucrezia Florani.* Podoba ci się?

— Musi być coś włoskiego...

— Może chcesz przeczytać? Masz czas?

— Oczywiście...

— Rękopis wyraźnie przepisany... O, siadaj tu w fotelu przy oknie i czytaj sobie spokojnie... Ja będę pracowała.

Powstała, przysunęła fotel do okna, przystawiła stolik, złożyła na nim rękopis i wróciła na miejsce, udając zajęcie robotą i obserwując od czasu do czasu skośnemi rzutami oczu wyraz twarzy Szopena. Szopen czuł to, czytając.

Już od pierwszych kart serce mu mocniej zabiło i coś ciepłego zalało mu piersi. Opanował się jednak, nieznacznie przesunął fotel i zmienił pozycję tak, że teraz patrzał na podwórzec, twarzą odwrócony od swej obserwatorki.

Czyta naprzód opis bohatera, księcia Karola: postać delikatna ciałem i duchem, piękna czarująco i jakgdyby bezpłciowa, „coś, jak te twory idealne, jakiemi posługiwała się poezja średniowieczna do ozdoby świątyń chrześcijańskich; anioł pięknolicy, jak wielka postać kobieca, smutna, czysta i smukła, jak młody bóg z Olimpu; aby uwieńczyć ten zespół, wyraz zarazem tkliwy i surowy, błogi i namiętny. Nie miałeś nic równie czystego i równie burzliwego zarazem, jak jego myśli, nic uporczywszego, nic wyłączniejszego i bardziej drobiazgowo oddanego nad jego uczucia".

Czyta dalej: księcia Karola spotyka Lukrecja, artystka teatralna, kobieta zmęczona piętnastoma latami namiętności, której zdaje się, że się już wyrzekła miłości. Ulega ona jednak Karolowi, atoli z uczuciem raczej macierzyńskiem.

Czyta: „Będę go kochała — oświadcza, składając długi i mocny pocałunek na bladem czole młodego księcia—ale to będzie, jak miłość matki". Opatrzność tu ją posłała do księcia, jako osobę najodpowiedniejszą na towarzyszkę i do zbawienia go. Ona bo zawsze „opiekowała się i przywracała do czci, zbawiała lub starała się zbawiać ludzi, których miłowała. Poskramiając ich wady czułością, naprawiając ich błędy poświęceniem, chybiała w czynieniu bogów z tych zwykłych śmiertelników. Ale poświęciła się całkowicie, żeby to osiągnąć"...

W dalszem czytaniu dowiaduje się, że Karol nie poznał się wcale na tej wyjątkowej naturze. Nienawidził on w Lukrecji tego, co „zwał w swej myśli gruntem beztroski cygańskiej, pewną tępotą organizacji gminnej. Nie przejmując się zgoła bólem, jaki jej sprawiał, powiadał sobie, że ona nic nie czuje, że ma z dobroci pewne chwile troskliwości, ale że, wogóle, nic nie może dojąć natury tak odpornej, tak mocnej i tak łatwej do rozrywek i do pocieszania się. Rzecby można, że wówczas był nawet zazdrosny o zdrowie, pozornie tak silne, swej kochanki, i że wyrzucał Bogu spokój, jakim On ją obdarzył". O cóżbo on nie był zazdrosny, tyranizując ją w swej miłości? O wszystkich i o wszystko!

Szopen przeniósł oczy z papieru na podwórzec i patrzał przez dłuższą chwilę z duszą niemą, ściśniętą, nic nie widząc i czując tylko otwierającą się w sobie ciemną przepaść. Przemógł się całym hartem i pił dalej tę czarę nikczemną piołunu.

Najgorszą było rzeczą, głosiła powieść, że okrutny ten egoista był władczo grzeczny i baczny, „że nikt nigdy nie mógł nawet domyślać się, co się w nim działo. Im bardziej był strapiony, tem większy chłód okazywał. Wtedy był on prawdziwie nie do zniesienia... Znajdował wtedy w sobie ducha, ducha sprzecznego i pomysłowego, by torturować tę, którą kochał. Szydził wtedy, przesadzał w grzeczności, ceremonjował się, wybredzał we wszystkiem. Zdawało się, że lubuje się w kąsaniu całkiem pocichu, a rana, jaką zadawał, przenikała aż do wnętrzności. Lub też, gdy nie miał ochoty przeczyć i drwić, zamykał się w pogardliwem milczeniu, w dąsach, które gnębiły doreszty".

— Nikczemne! nikczemne! — kotłowało się jakimś kłębem gorącym w piersi Szopena: — Jak ona mogła, jak ona mogła to tak nikczemnie, tak bez litości, tak bez opamiętania pisać! Do tego, do tego aż doszło?!

Czyta jednak dalej oczyma, w które te jej litery jak piaskiem wrażają się ostrym: Oto Karol staje się uprzejmy, czarujący wtedy tylko, gdy Lukrecja, zgnębiona, okazuje i wyznaje, jak cierpi. „Karol, stając się odrazu czułym dla niej, zapominał o swym złym humorze i niepokoił się nadmiernie. Sadzał ją na swych kolanach, adorował ją w takich chwilach bardziej jeszcze, niż w pierwszych ich miodowych miesiącach".

Lukrecja umiera wreszcie, jako ofiara katowni Karola.

Szopen skończył i, bez poruszenia się, patrzy wzrokiem niemym i sercem rozżalonem w podwórzec — ale już nie przeciwdziała, już nie ma sił, już daje wszystkiemu zapadać na dno, na samo dno duszy! Niech leży tam, jak ciężkie kamienie, niech tłoczy, niech oddech tamuje! Trudno! Każdy ma swoją Kalwarję.

— Książka pójdzie w świat... Ludzie ją czytać będą... W Karolu poznawać mnie będą... Rysy nazbyt przejrzyste, choć do celu jej nagięte i tak fałszywie wytłomaczone... Ona — Lukrecja, ofiara, niewinna... Ona zawsze niewinna... i wszyscy wobec niej winni... Tyle zaślepienia! Lecz nikt jej tego nie wytłumaczy, nikt nie jest mocen rozedrzeć jej oczu ducha, instynktem ślepym zarosłych... Ona, ofiara! O, jakie to szpetne, jakie to czelne, jakie to wszystko okrutne! I ja tu ugrzęzły... Poco ja tu? jaki los tak srodze uwięził mnie w tym ostępie?... ostępie ciała bez duszy, ostępie duszy bez ducha... Co kocham jeszcze? Mękę moją? Ona li wiąże tak mocno?

Jedynym nakazem woli Szopena stało się w tej chwili, by nic nie okazać z swych wzruszeń. Dość już upokorzenia, na resztę nie pozwala godność. Wyprostował zwolna kark, gdyż czuł, że jest obserwowany ztyłu, dźwignął się całym wysiłkiem, choć nogi podcinały mu się i, jak mógł najswobodniej, zbliżył się z rękopisem do biurka pani Sand, przy którym ona siedziała, udając pogrążenie w robotę.

Złożył rękopis na biurku.

— No, i cóż? — zagadnęła, odrywając się raptownie.

— Nic — odrzekł Szopen spokojnie. — Przeczytałem.

— No, ale jakże znajdujesz? Podobała ci się?

— Nie bardzo znam się na tem...

Chwila niezręcznego milczenia. Pani Sand jeszcze chciała o coś zapytać, już wyraz wisiał na jej ustach, ale Szopen pożegnał ją, wymawiając się, że jest trochę zmęczony.

Po jego wyjściu, pani Sand uśmiechnęła się zadowolona, ale rychle po tem twarz jej się zasępiła — poczęła rozmyślać.

A Szopen szedł z pochyloną głową przez podwórze do swego pawilonu. Tam zamknął się na klucz w pokoju, i tego wieczoru, sam pozostając w ciemności, on, tak mało sentymentalny i skłonny do rozczuleń nad sobą, płakał, jak małe dziecko, wspominając swój los i krzywdę, jakiej doznał.

* * *

Pani Sand powiada w „Historji swego życia“, że książę Karol z jej powieści nie jest obrazem Szopena, że historja jej życia z Szopenem była tak inna!..., że Szopen sam nie podejrzewał siebie w osobie Karola, i że na powieść jej nie replikował zupełnie. Ale obrona ta jest poprostu śmieszna. Nikt nie będzie zaprzeczał pani Sand, że rysy życiowe w powieści są i muszą być odmienione, spojone — że nie są one

fotografją z życia, — ale właśnie całem szelmostwem literackiem pani Sand było to, że, odmieniając na gorsze, jaskrawsze, i naginając te rysy do swego celu, do rehabilitacji siebie, jako Lukrecji, do czynienia z siebie ofiary, poddawała ogółowi, który wiedział o jej stosunku z Szopenem, obraz domyślny Szopena taki, jakim on nie był, dla ratowania siebie w opinji tego ogółu, dla wywyższenia fałszywego siebie. To oczernienie, to oszczerstwo skryte, w imię władzy zdradzieckiej pióra, człowieka szlachetnego i idealnego, o którym wiedziała, że nie chwyci się swej obrony, jest czynem tak brzydkim, tak pozbawionym czci i godności własnej, że można go położyć tylko na karb niepoczytalności moralnej pani Sand. Istotnie, były rzeczy moralne i duchowe, których światła nikt jej instynktowi brutalnemu, jej egoizmowi czelnemu nie był w mocy wyjaśnić. Cały jej genjusz przyrodzony od strony nadprzyrody był deskami na głucho zabity.

Jak straszna, jak okrutna jest kobieta pisząca, dla żeru swej wyobraźni poświęcająca nawet sumienie!

Jak inny jest obraz Szopena, skreślony przez Liszta w jego książce. „Nie ubiegał się on o nic, nie raczyłby się ubiegać". Był szczodry wszystkiem, prócz swą osobą. Wolał powściągliwość, niż półśrodki, zaś to przez poczucie swej wartości, przez nadmiar, być może, wymagania tajemnego, przez nadmiar ideału hodowanego w sobie. Nie zdradzał nigdy swych uczuć, nie mówił o miłości, ani o przyjaźni. Nie wdawał się wogóle w rozprawy, nie wykładał jarmarcznie rzeczy na stół. Był gorliwym katolikiem, choć, obcując z nim, mógłbyś tego nie wiedzieć. Gdy demokratyczni przyjaciele pani Sand wygłaszali szumne swe utopje, wycofywał się w milczeniu i przechadzał się w głębi pokoju z twarzą nieco zmrożoną. O Polsce także nie mówił, nadto święcie chowając ją w sercu. Usposobienie zazwyczaj pogodne — często był cięty w mowie, gdy trzeba było odparować żart czy złośliwość, choć wyzbyty był zupełnie złości i urazy. Czar jego zresztą osobisty chronił go od zaczepek i zbytniej poufałości. Liszt widział go niekiedy mocniej poruszonego, ale i wtedy natychmiast się opanowywał, i pierwsze już słowa jego w tym stanie były rozważne, układne. Był dobrze, był idealnie wychowany, nietylko zewnętrznie, lecz nadewszystko wewnętrznie. Dla wszystkich był jednako uprzejmy. Przeszedł on, powiada Liszt, „przez mękę tortury kobiecej", z którą się nigdy nie zdradzał. W utwory swe muzyczne tylko przelewał tę mękę, ale i tu strzegąc się wszelkiego wyrazu brutalnego, a zwłaszcza wszelkiego melodramatu, do którego czuł rzetelną odrazę. Sztuka, według niego, powinna zawsze dawać coś do przewidywania, do przeczuć: obnażanie się zupełne jest nieprzystojnością. „W genjuszu jego było coś niebiańskiego. Lasy i pustynie odstraszały go. Trzeba mu było błękitu nieba".

Pani Sand twierdzi w „Historji swego życia", że stosunek Szopena do niej był zawsze pełen „względów, oddania się, uprzejmości, wdzięku", i że tylko rozdrażnienie jego wskutek choroby wytwarzało zatar-

gi z dziećmi, w które musiała wdać się ostatecznie, i co spowodowało rozstanie. Ale mamy list pani Sand z 2 października 1847, który sprawę stosunku z samą panią Sand przedstawia w sposób znacznie dramatyczniejszy, niż ona to ujawnia publicznie. Oto jest brzmienie tego listu: (Nie zapominajmy, że, według daty, jest on pisany, jako zdanie sprawy, w 2 miesiące po zerwaniu stosunku.)

„Usposobienie jego z dnia na dzień się jątrzyło, doszło już do tego, że urządzał mi sceny (*des algarades*) złości, niehumoru, zazdrości w obecności wszystkich mych przyjaciół i mych dzieci... Maurycy poczynał się oburzać na niego. Znając i widząc czystość mych stosunków, widział również, że biedny ten duch chory nadawał sobie, nie chcąc i nie mogąc, być może, pohamować siebie, prawa kochanka, męża, władcy mych myśli i mych uczynków. Już, już chciał wybuchnąć i powiedzieć mu w twarz, że wyznacza mnie, kobiecie czterdziestotrzyletniej, rolę śmieszną i że nadużywa mej dobroci, mej cierpliwości i mej litości dla jego stanu nerwowego i chorobliwego. Jeszcze kilka miesięcy, kilka dni być może w tem położeniu, i walka niemożliwa, straszna, wybuchnęłaby między nimi...

„...Biedne dziecko nie mogło nawet zachować tego *decorum* zewnętrznego, którego był on jednak niewolnikiem w swych zasadach i w swych nawyknieniach. Mężczyźni, kobiety, starcy, dzieci, wszystko było dla niego przedmiotem grozy i zazdrości wściekłej, niedorzecznej; gdyby się ograniczył do okazywania jej mnie tylko, byłabym to zniosła, ale gdy wybuchy następowały wobec mych dzieci, wobec ludzi, którzy, widząc to, mogli byli stracić szacunek, do jakiego mój wiek i moje postępowanie od dziesięciu lat dają mi prawo, nie mogłam już wytrzymać tego“ *).

Proszę porównać teraz ten list, naprzód z oświadczeniem pani Sand w „Historji swego życia“, a następnie z rysami Karola w powieści „Lucrezia Floriani“, gdzie jest on zazdrosny „o księdza, o żebraka, o służącego, o listonosza, o lekarza, o wielkiego głuptasa kuzyna“, i z oświadczeniem jej, że książę Karol nie jest wzorowany na Szopenie, będziemy mieli podwójne — nie! potrójne, gdyż powiększone kłamstwem samych rzeczy, kłamstwo pani Sand.

Tak! Szopen był, zwłaszcza w ostatnich latach, rozdrażniony — tylko, że rozdrażnienie to powodowała i powiększała z dnia na dzień najzuchwalej sama pani Sand. To nie choroba drażniła go — choroba, owszem, sama wołała o spokój, jak rana otwarta, ale pani Sand ranę tę żywą postępowaniem swem stale jątrzyła. Nawet cierpliwość i powściągliwość anielska Szopena nie mogła już tu dać rady — przebrała się. Pani Sand była chorobą nieuleczalną Szopena.

Tak jest! Szopen był zazdrosny o wszystko: o kobiety, o służbę, o starców, o dzieci — tylko, że pani Sand nie rozumiała zupełnie tej jego zazdrości, dopominającej się szacunku dla swego uczucia, rządu

*) W. Karenin, Georges Sand, t. III, str. 529—530.

duszy, godności pani Sand. Zanadto wiele włożył on w ten stosunek, zanadto go uświęcił, by mógł się godzić na traktowanie go, jako terenu do wolnych harców zalotnych pani Sand, na czynienie z domu, w którym swe uczucia umieścił, bezobowiązkowego przybytku wrażeń. Chodziło mu mniej może nawet o siebie, chodziło mu o duszę pani Sand, o dusze paczące się jej dzieci. Chodziło o wiązadło jakieś religijne, o wiązadło obowiązku, sumienia, które jedno wznosi człowieka nad ślepy instynkt, nad ślepy egoizm. O to walczył, za to cierpiał — i tego nie otrzymał. I tego nie mógł otrzymać. W tem tkwi właśnie cały tragizm nieszczęsnego tego stosunku.

Rozważmy bo tylko całą linję postępowania pani Sand w tym stosunku, tak, jak ją ona sama stwierdza w pamiętniku swym i w swych listach. Idąc za głodem, za żądzą swej wyobraźni, pani Sand sama usidla Szopena, sama mu otwiera ramiona, sama wyznaje, że w związku stałym musi być pełna wymiana i duszy i ciała, sama się uraża wzgardliwem „*fi!*“ Szopena na rzeczy gburne zmysłów w miłości. Sama wybiera Majorkę, jako „gniazdo miłości“, sama tam ściąga Szopena, sama wyprowadza go na uciążliwą przechadzkę, czem powoduje krwotok i nadwerężenie już śmiertelne jego stanu zdrowia.

Wyobraźnia już nasycona. Na Majorce, mniemam, miała już pani Sand dosyć fizycznego Szopena. Jak na nią, na strawę dla żądnej tylko wrażeń wyobraźni, było to i tak długo, bardzo długo! Ale tu oto nastręczają się jej pewne przeszkody, pewne skrupuły: Szopen duchowy. Nie może już, nawet wobec siebie, kopnąć go wewnętrznie z pogardą, jak to czyniła z każdym innym mężczyzną, i czekać tylko sposobności, znosząc go do czasu zewnętrznie i zachowując pewne *decorum*, nowych wrażeń. Po pierwsze, urok i majestat duszy Szopena, mimo całą bezprzesądność jej duszy, budzi w niej po raz pierwszy coś nieznanego, coś mistycznego, zagadnienie jakieś, nakaz, odpowiedzialność, poczęcie jakieś pierwsze, pierwszy kiełek w duszy nowy, który ją hamuje i więzi. Po wtóre, czuje, bądź co bądź, wyrzut skryty za otworzenie krwawe choroby Szopena. Po trzecie, rozumie, że musi się jednak liczyć z opinją, i że zerwanie raptowne z Szopenem zwaliłoby w tej opinji całą winę choroby Szopena na jej głowę, szkodząc jej bardzo. Po czwarte, ma już w swej myśli dosyć „egoistycznej miłości“ względem mężczyzn; omyliwszy się na wszystkich dotychczasowych próbach, pragnie stanowczo ustatkować swe życie i utrzymywać się już na przyszłość w czystości panieńskiej. Narazie przynajmniej zamiar ten jest szczery.

Z takiemi uczuciami wraca z Szopenem do Nohant. Tam, wkrótce po przybyciu, 18 czerwca 1839 (napis na ścianie pani Sand), robi postanowienie, oznajmiając to, oczywiście, Szopenowi, zamiany siebie z kochanki na matkę Szopena i uczuć swych egoistyczno-miłosnych na altruistyczno-miłosne, macierzyńskie. Dla wyobraźni nowa strawa!

I tu występuje najcharakterystyczniejsza strona bezwzględnej, cynicznej niemal w swym egoizmie, natury pani Sand — na szczęście, bez poczucia z jej strony.

Sama pisze, że, po roku tym miłości, zostawiła Szopena przy sobie po gruntownym namyśle — i że zrobiła głupstwo. Byłby trochę popłakał — powiada — i wszystko byłoby dobrze. Wesele skończone — rozejdźmy się. Zostawiła go atoli przy sobie nietylko dla macierzyńskiej opieki, dla uprawy nowych swych uczuć altruistycznych, lecz głównie — by był on, w nowem jej postanowieniu czystości, zabezpieczeniem od pokus względem innych mężczyzn! Czy może być coś bardziej egoistycznego, coś bardziej cynicznie w swej bezwzględności egoistycznego? Oto wilczyca, żeby nie zjadać koźląt, zachowuje przy sobie do straży baranka, by go, nadomiar, gdy przyjdzie pokusa, kęskiem nadszarpnąć! O Szopena, o jego duszę, o jego uczucia (które potem nazywać będzie bezsensownemi) nie chodzi jej. Nie widzi go, jako istoty czującej, widzi go tylko, jako cel dla siebie, jako warownię, jako rzezańca dla swego sułtańskwa!

Baranek — Szopen na wszystko się godzi. Nacóżby on się nie zgodził ofiarnie, byle mieć do podziału jej duszę, tę duszę kobiety, bez której ciężko mężczyźnie na ziemi! Duszy tej, atoli, oczywiście, otrzymać nie może, gdyż duszę tę kobiety, po mękach ogniowych przez nią, znajduje się tylko w sobie — i płaci się często życiem! Szopen nie wiedział o tem.

Koniec bajki wiadomy. Wilczycy, jak wszystko, przykrzy się wreszcie i macierzyństwo dla baranka. Natura ją ciągnie do lasu — ku koźlętom. Baranek, mocno zszarpany, sam się wycofuje.

Swoją drogą, wycofanie się Szopena, jako ostatnia ofiara z siebie, było, mniemam, zahamowaniem wybryków leśnych natury pani Sand — a rychła śmierć jego położyła już cień chroniący na podeszłe zresztą jej lata.

Tym sposobem, w bilansie ogólnym, pani Sand, dając fatalnie Szopenowi, z wyroków przeznaczenia, mękę, przez którą miał się wyrobić w pełni ideał człowieka i twórcy — dając mu torturę, lecz torturę, z której płynął śpiew niebiański — dając mu śmierć wreszcie, lecz z bramą nieśmiertelności, otrzymała jednak od niego znacznie więcej. Przez 8 lat wprowadzając boleśnie jej duszę na drogi wieczne życia, i śmiercią swą nawet wyciskając na niej swój nakaz moralny, ocalił on istotnie tę duszę od grożącego jej, siłą natury, nierządu, od otchłani wiecznej, co czynem jest tysiąckroć większym, niż wyrwanie ciała z nierządu.

Taka była historja wewnętrzna, takie starcie się i taka wymiana celowa dwóch tych sił, dwóch natur, tak sprzecznych ze sobą, jak ciało i dusza, jak biegun żeński i męski — i taka ofiara Szopena, by wszczepić w ślepą naturę obraz wieczysty człowieka!

Pani Sand w swym pamiętniku opisuje moment, gdy, w nadmiarze energji, pod wpływem rozpaczy, idzie do ogrodu i unosi ciężki kamień, dziedzicznie przekazany w grocie sztucznej, urządzonej przez jej matkę. Otóż — Szopen dla pani Sand, mimo swą eteryczność, był nazbyt ciężkim kamieniem: pani Sand uroniła go — kamień ucierpiał — lecz pani Sand

przekonała się po raz pierwszy, że nie wszystko jest samolubnym wyrazem woli i instynktu, że ponad tem istnieje kamień nieuchwytny — nie do zuchwałego ujęcia — kamień, którego wyraz ostateczny spocznie na grobie, a który się nazywa sumieniem. Taką nauką był Szopen dla pani Sand.

Pomimo gorzkiej „Lukrecji", jaką świeżo nakarmiła pani Sand Szopena, pojechał on jednak, w tym oto 1846 r., do Nohant, by spełnić całą ofiarę. To były ostatnie jego wakacje, spędzone z panią Sand.

ZERWANIE.

Wiosna 1847 nie zapowiada jeszcze zerwania. Szopen 14 kwietnia pisze do rodziny, zawiadamiając ją, że ma się odbyć ślub panny Solange, ale nie z tym (dodaje), o którym przedtem pisał — wyraża swe dobre życzenia dla pani Sand i dla narzeczonych: (Niech Bóg ich darzy wszelkiem dobrem. Jeżeli kto jest godzien szczęścia, to pani Sand!) — i zapowiada przyjazd pani Sand do Paryża na koniec maja.

Panna Solange miała wyjść za mąż za ziemianina, sąsiada pani Sand, ale ostatniemi czasy zakochała się w Clesingerze, rzeźbiarzu, i zerwała swe pierwsze narzeczeństwo. Szopen był przeciwny tej zmianie (i miał rację), ale pani Sand, utrzymując stale, że lepiej zna się od niego na ludziach, prosiła Grzymałę, by dał mu do zrozumienia, iż nie powinien się mieszać do tych spraw.

Wkrótce jednak po wysłaniu listu do rodziny, o którym wspomnieliśmy, Szopen zachorował snadź ciężko, gdyż mamy list pani Sand do Grzymały z Nohant, pisany 12 maja 1847, który powiadamia nas o tem:

„Nareszcie, tym razem jeszcze, jest on ocalony, ale przyszłość jakże jest ciemna dla mnie z tej strony... W każdym razie, będę w Paryżu na kilka dni w końcu miesiąca i, jeżeli Szopena będzie można przewieźć, sprowadzę go tu". W liście tym wytacza zarazem szeroko swe skargi i żale, mówiąc o swem poświęceniu i podając ciekawe szczegóły. Oświadczywszy, że od siedmiu lat jest ona jak panna z Szopenem i z innymi, powiada:

„Wiem, że wielu oskarża mnie, jedni, żem go wyczerpała gwałtownością mych zmysłów, drudzy, żem go doprowadziła do rozpaczy memi wybrykami (*par mes incartades*) Sądzę, że wiesz, ile w tem jest prawdy. On skarży się na mnie, żem go zabiła, pozbawiając go tego, podczas gdy ja byłam pewna, że zabiłabym go, gdybym postępowała inaczej. Oto jakie jest me położenie w tej przyjaźni opłakanej, gdzie stałam się jego niewolnicą we wszystkich chwilach życia, w których to mogłam czynić bez okazywania mu względów pierwszeństwa niemożliwych i grzesznych przed memi dziećmi — w których szacunek, jaki winna byłam wpajać w me dzieci i w mych przyjaciół, był rzeczą tak delikatną i trudną do zachowania! Dokonałam pod tym względem cudów cierpliwości, do których nie uważałam siebie za zdolną. Doszłam do męczeństwa!... Ale niebo jest nieubłagane dla mnie, jakbym miała zbrodnie do odpokutowania; pośród bowiem wszystkich tych wysiłków i ofiar, ten, którego kocham miłością absolutnie czystą i macierzyńską, umiera, jako ofiara przywiązania nierozumnego, jakie zachowuje dla mnie".

List ten, pisany z wielkiem rozdrażnieniem, należy brać z całą rezerwą. Wątpię, by Szopen, jak się wyraża pani Sand, „umierał, jako ofiara przywiązania bezrozumnego *(insensé)*" dla niej, takiego, jakie ona miała na myśli. Wątpię też, by w stanie swym zdrowia i całego swego usposobienia dybał na jej cnotę postanowioną (względem niego!) westalki, ale że wymagał tej cnoty względem innych mężczyzn — to fakt. Tymczasem pani Sand od miesiąca bawiła w Nohant i miała tam przyjaciół. Szopen musiał coś podejrzewać i czegoś się domyślać. „Starym krukom wypadają pióra ze skrzydeł", pisała kiedyś pani Sand z przestrogą dla siebie (*„Journal intime"*). Otóż, pióra te poczęły się, widocznie, złuźniać. Widmo Szopena poczynało jej ciężyć nieznośnie. Nie czuła się wolną. Stąd rozdrażnienie.

Koło 20 maja, jak zapowiedziała, przybyła do Paryża. Ślub panny Solange z Clesingerem odbył się 20 maja. Po ślubie wszyscy wyjechali do Nohant. Szopen pozostał w Paryżu.

Upłynął zaledwie miesiąc, gdy między panią Sand i młodą parą poczęły wybuchać sceny, aż doszło wreszcie do prawdziwej burdy. Oto jak ją przedstawia sama matka w liście z lipca: „Sceny, które mnie zmusiły nie do wyproszenia, lecz wprost do wyrzucenia ich za drzwi, są nie do wiary, nie do opisania. Streszczają się one w niewielu wyrazach: chciano się oto mordować tutaj, zięć mój podniósł młot*) na Mau-

*) Rzecz się działa w pracowni rzeźbiarskiej Clesingera.

rycego i zabiłby go może, gdybym się nie rzuciła między nich, uderzając mego zięcia w twarz i otrzymując od niego uderzenie pięścią w piersi. Gdyby ksiądz, który był tam wtedy, przyjaciele i służący nie wdali się w to, Maurycy, uzbrojony w pistolet, byłby go zabił na miejscu".

Clesingerowie przybyli do Paryża i zdali z zajścia sprawę Szopenowi. Pani Sand oczekiwała listu od Szopena. Szopen milczał. Chora podobno i wielce zaniepokojona pani Sand już chciała jechać do Paryża, gdy nadszedł list, o którym tak pisze: „Nareszcie pocztą ranną otrzymuję list od Szopena. Widzę, że, jak zwykle, głupie me serce wyprowadziło mnie w pole: gdy ja sześć nocy bezsennych spędzam, niepokojąc się o jego zdrowie, on zajęty ogadywaniem, oczernianiem mnie wraz z Clesingerami! Bardzo dobrze. List jego ma śmieszną godność, i kazania tego dobrego ojca rodziny będą dla mnie istotnie nauką. Dobrze jest wiedzieć, będę już odtąd spokojna pod tym względem". Odpowiedź pani Sand Szopenowi, „trzeba przyznać — była okrutna", pisze 20 lipca Delacroix, któremu Szopen ją czytał.

14 sierpnia pisze pani Sand: „Co do Szopena, nie mam o nim żadnych wieści; proszę mi powiedzieć tylko prawdziwie, jak jego zdrowie: nic więcej. Reszta nie obchodzi mnie zupełnie, i nie mam racji żałować jego uczucia".

Liszt pisze, że zerwanie to podcięło zupełnie Szopena. Wracał wciąż myślą do wspomnień, jakgdyby ich jadem pragnął się zatruć zupełnie. I dodaje: „Szo-

pen czuł i powiadał często, że długie to uczucie, więzy tak mocne, krusząc się, skruszyły jego życie" (str. 288).

Co było istotną przyczyną zerwania? Co oznajmili Clesingerowie Szopenowi — iż stało to się podstawą bolesnej jego decyzji? Musiała to być jednak rzecz, obciążająca panią Sand, gdyż wątpię, by sama ta burda, acz nieprzyjemna dla Szopena, i sprawa samego tylko zatargu rodzinnego mogły tę decyzję wywołać.

Przypuszczać należy, że gwałtowna Solange, musztrowana zazwyczaj przez matkę, widząc czy podpatrzywszy niechcący jakieś postępowanie jej niewłaściwe, jakiś wybryk jej zalotny względem któregoś z bawiących tam wówczas gości, wyrzuciła to, przy jakiejś sprzeczce, matce w oczy, przypominając jej obowiązki dla Szopena i ujmując się za jego cześć. Matka wtedy powstała na córkę, Clesinger stanął w obronie żony, Maurycy — matki, i scena przybrała ów wyraz gorszący. Solange, przybywszy do Paryża, oświadczyła Szopenowi, co wiedziała o matce, i Szopen, widząc, że na dalszą pobłażliwość nie pozwala mu godność, powziął decyzję — już bezapelacyjną.

Liszt ekscentrycznym stylem swej książki o Szopenie tak tłumaczy zerwanie: „Nadszedł moment, gdy sztuczne to istnienie, które nie zdołało już galwanizować fibr wyschłych pod strażą artysty duchowego, zdało mu się przekraczać to, czego niepostrzegać pozwalał mu honor" (str. 285).

Jakże wobec tych wszystkich złości i wypominań swego poświęcenia — choć niewiadomo jakiego —

pani Sand, brzmią szlachetnie słowa Szopena o niej, po rozstaniu się (w listach do rodziny):

„Nie żałuję, żem pomógł jej ośm lat znieść najdelikatniejszych w jej życiu, wtenczas, kiedy córka rosła, a syn się przy matce chował; nie żałuję wszystkiego, com zgryzł, ale żałuję, że córkę tę, dobrze pielęgnowaną roślinę, uchowaną od tylu wichrów, w ręku macierzyńskiem złamała przez nieroztropność i lekkość, która może uchodzić kobiecie 20-letniej, ale nie 40-letniej. Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. Pani Sand nie może mieć dla mnie, tylko dobre wspomnienie w duszy, jak się kiedyś obejrzy za sobą".

I jeszcze — z listu 10 lutego 1848:

„Matka gra komedję, na wsi, w pokoju nupcjalnym córki, zapomina się, szołomi, jak może, i nie obudzi się, aż ją bardzo zaboli serce, które przywalone teraz głową. Ja mój krzyżyk zrobiłem. Niech ją Pan Bóg kocha, jeżeli nie może rozeznać prawdziwego przywiązania od pochlebstw. Zresztą, może mi się zdają inni pochlebcami, a może istotnie jej szczęście jest tam, gdzie ja go nie widzę".

Lata tragiczne 1846 i 1847 przyniosły ostatnie utwory Szopena: Trzy mazurki, Barkarolę, Poloneza, Fantazję, Dwa nokturny — w 1846, i Trzy mazurki, Trzy walce i Sonatę na fortepian i wiolonczelę — w 1847; w porządku kolejnym op. 59 — 65 włącznie, kończące listę utworów, które wyszły za życia.

Po rozstaniu się z panią Sand nie tworzył już: nie miał już sił fizycznych na to.

AGONJA.

(1847—1849)

Dzieje ostatnich dwóch lat właściwego już umierania Szopena nie należą do zakresu tej książki. Możemy je tylko ogarnąć pobieżnie.

Chory już ciężko, dźwiga się Szopen swym szkieletem żołnierza i 16 lutego 1848 urządza swój koncert łabędzi w Paryżu. Wzbudza entuzjazm niesłychany śród najwykwintniejszej publiczności.

Po rewolucji 1848 jedzie z oddaną sobie bogatą i wysokiego rodu uczenicą, Szkotką, panną Stirling*), do Anglji. Chce trochę zarobić koncertami, gdyż nie ma żadnych zasobów materjalnych. Objeżdża z nią, począwszy od Londynu, z wielkim już wysiłkiem, kilka miast i zamków lordowskich, wszędy wzbudzając zachwyt swą grą i osobą. Gra przed królową angielską.

Po tym ostatnim śpiewie łabędzim, w lutym 1849 wraca do Paryża.

*) Ogłoszona niedawno książka Ganche'a, p. t. *Dans le souvenir de F. Chopin*, umieszcza korespondencję panny Stirling, z której widać, jakim kultem, prawdziwie religijnym, otaczała postać Szopena za życia, i po śmierci grób jego, przez nią właściwie pomnikiem ozdobiony.

Pali swe rękopisy rozpoczęte, zachowując tylko ostatni nokturn i krótki walc niedokończony. Nie może już dawać lekcyj. Z trudem chodzi. Przenosi się na ul. Chaillot, gdzie z mieszkania swego ma rozległy widok na Paryż. Stąd 25 czerwca pisze do siostry Jędrzejowiczowej, wzywając ją gorąco, by przyjechała, choć starając się nie przestraszać jej swym stanem. Po jej przyjeździe śpiesznym, całe lato właściwie już dogorywa. Przyjaciele znajdują mu mieszkanie na placu Vendôme, 12, gdyż to, które zajmował, było zimne. W październiku nie może już stać na nogach bez potrzymywania. Pokłada się często. Siostra i Gutman, wierny uczeń jego, nie odstępują go już. Trzyma często rękę Gutmana.

13 października — wiatyk z rąk ks. Jełowickiego. 15 głos gaśnie. Tegoż dnia przybywa z Nizzy piękna hrabina Delfina Potocka, która dążyła z całym pośpiechem, dowiedziawszy się o jego chorobie. Szopen prosi znakami, żeby mu zaśpiewała. Przysuwają fortepian do drzwi jego pokoju, gdzie spoczywał na łóżku. Tłumiąc łzy, hrabina śpiewa. Drugą piosenkę przerywa rzężenie umierającego. Koło łóżka zostaje ksiądz i przyjaciele na klęczkach.

Noc była ciężka. 16-go z rana mała ulga. W dzień przywołuje do swego łoża przyjaciół, zebranych w salonie. Dla każdego ma dobre, ciche słowo. Księżnie Czartoryskiej poleca Franchomme'a. „Będziecie grali Mozarta razem, i ja będę tam słyszał", szepce do niej.

Ksiądz przybywa. Szopen przyjmuje oleje święte, spoczywając z zamkniętemi oczyma na ramieniu Gutmana. Z końcem modłów, otwiera oczy i mówi dobitnie: Amen.

Wieczorem, doktór (Cruveillé) pyta go, czy cierpi. Lekki wyplusk z ust, czuły, ptaszęcy: *Plus!* (Już nie!).

Między trzecią a czwartą z rana, 17-go, Gutman podał mu do ust wodę w szklance. Szopen wyszeptał rzewnie: *„Cher ami!"* i skonał. Gutman zachował szklankę ze śladem warg Szopena.

Pogrzeb dopiero 30-go. (Ciało, za pozwoleniem specjalnem biskupa, spoczywało w podziemiu.) Nabożeństwo w kościele Madeleine z dostojnością prawdziwie królewską. Grano Marsza żałobnego i Preludja (*h-mol* i *e-mol)* na organach (Lefébure Wély), tudzież *Requiem* Mozarta, o które za życia prosił Szopen. *Tuba mirum* śpiewał słynny Lablache (który to śpiewał również w 1827 na pogrzebie Beethovena). Meyerbeer i ks. Adam Czartoryski prowadzili kondukt. Ks. Aleksander Czartoryski, Delacroix, Franchomme i Gutman trzymali końce całuna. Pochowany na cmentarzu *Père Lachaise.*

EPILOG.

W sferach t a m t e g o świata, nieodgadnionych dla nas, choć zda się tak bliskich, tuż za zasłoną powietrzną, wewnątrz tego świata, zamkniętych, pani Sand nie jest tam, gdzie jest Szopen. Słyszy tam jednak jego muzykę, która tak brzmi, jak muzyka światła i tęcz niebieskich i śpiewy najczystsze aniołów, wyobrażane przez nas. Muzyka ta otwiera jej szlak drogi poprzez mgły, i światłem swem prowadzi ją ciągle naprzód i ciągle do niego. Niestety! w miarę posuwania się pani Sand, posuwa się i muzyka Szopena, tak, że wciąż ją słyszy, wciąż się nią kieruje i nigdy jej nie dościga. Doścignie ją tam chyba na krańcach nieskończoności, jeżeli nieskończoność ma wogóle krańce gdzie indziej, niż w duszy rozumnej człowieka.

BIBLJOGRAFJA.

Oprócz znanych dzieł polskich o Szopenie: Karasowskiego, Hoesicka, Opieńskiego, Karłowicza, Kleczyńskiego, hr. Tarnowskiego, tudzież obcych: Liszta, Niecksa, Poirée'go, Aubry'ego, Ganche'a (1921), nowsze: E. Ganche: *Dans le souvenir de F. Chopin,* Paris, 1925. H. Bidou: *Chopin,* Paris, Alcan, 1925, poza tem: Georges Sand: *Histoire de ma vie*, 4 tomy (głównie tom IV-ty); — *Un Hiver à Majorque*; — *Journal intime,* 1926, tudzież trzytomowe dzieło Karenina o pani Sand (*Georges Sand*).

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
Pani Sand do czasu poznania Szopena	9
Sprawa z Mussetem. — Furja miłosna.	9
Piffoël	26
Szopen i pani Sand	34
Empireum pani Sand. — Pierwsze zawiązki miłości.	34
Na Majorkę. — Vogue la galère.	50
Pani Sand o Szopenie. (Wyciąg z „Historji jej życia“ w przekładzie)	57
Analiza tekstu pani Sand	93
Palma i Valdemosa	96
Powrót	104
Wiek męski — wiek klęski Szopena	110
Nohant i Paryż (1839—1846)	110
Szelmostwo literackie (1846)	122
Zerwanie	137
Agonja	143
Epilog.	146
Bibljografja	147

Winieta wstępna przedstawia pałac pani Sand w Nohant. (Wedle ryciny francuskiej.)

Portrety w medaljonach na okładce:

Pani Sand — rysunek wedle sztychu Calamatta;

Szopen w młodym wieku — wedle litografji współczesnej, ze zbiorów Warsz. Towarzystwa Muzycznego.

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA BIBLIOTEKA NARODOWY

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA
137

JÓZEF JANKOWSKI

MIŁOŚĆ ARTYSTY

SZOPEN I PANI SAND



NAKŁAD GEB
WARSZAWA — KR
PARYŻ — POZNA